Nr. 31. Kraków, dnia 31 lipca 1910. ROK 1.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

Kilka wniosków.

Omawialiśmy w zeszłym tygodniu znaczenie uroczystości Grunwaldzkich dla całej Polski i dla przyszłości naszej. Podkreśliliśmy wówczas, że obchód Grunwaldzki był dowodem wzrostu życia wewnętrznego, który uwydatnił się we wszystkich dzielnicach dawnej Rzeczypospolitej, był ogromnem wzmożeniem sił narodowych pokrzepieniem energii wewnętrznej, dodaniem otuchy walczącym współcześnie.

* * *

Dlaczego czciliśmy Grunwald: czy aby urządzić demonstracyę przeciwko odwiecznemu nieprzyjacielowi, czy aby chełpić się zwycięstwem, ustrajając się w pawie piórka przeszłości?

Odpowiedź na to najlepszą dał Roman *Dmowski* w przemówieniu swojem na bankiecie dziennikarskim: Myślano, że uroczystości grunwaldzkie będą demonstracyą przeciwko komu. To była omyłka. Polska nie istnieje przeciwko komu, ale istnieje *dla siebie* przedewszystkiem, a umiała niejednokrotnie złożyć dowody, że istnieje także dla innych. W obchodzie grunwaldzkim demonstracya jakakolwiek namby ubliżała: ogół przyszedł skupić dusze w świątyni uczucia i myśli narodowej, pochylić czoła i *hołd złożyć Polsce.* Istnieją tacy, coby chcieli nam dusze odebrać: my atoli pamiętamy, że Polska to nie tylko ziemia i pomyślność materyalna, ale *dobro moralne,* wielka puścizna idei przodków, która nam została i którą pielęgnujemy. W dniach uroczystych należy schodzić się w świątyni ducha narodowego i modlić się w niej: tego wyrzec się nie możemy i nie powinniśmy, bo naród żyje nie chlebem codziennym, interesami praktycznymi, ale chlebem kultury moralnej.

Naród więc musiał się skrzepnąć, wzmódz wewnętrznie. W szarzyźnie walki współczesnej, w nieustannych zmaganiach dnia dzisiejszego, pośród tylu rozlicznych prześladowań brutalnych i wyrafinowanych utrudnień w rozwoju normalnym, w ustawicznem przemyśliwaniu nad drobiazgowością środków, aby odparować ataki nieprzyjacielskie — uroczystości grunwaldzkie były doniosłym wypadkiem, silnie wrzynającym się w nasze spółczesne życie narodowe, dającym wyraz naszej siły zbiorowej i potęgi woli zbiorowej: moc nasza przezeń się wyrażała i ogromne *pragnienie pełni życia,* tej pełni, jaką się krzepią te narody, co nie są obcych niewolnikami.

* * *

Rocznicą grunwaldzką daliśmy dowód, że nas na życie takie stać. Francuz *Noussanne*, redaktor poważnego dziennika „Gil Blasa" na jednej z uczt przemówił temi słowy: „chcę wypowiedzieć uczucia i wrażenia, jakich doznałem ja i moi koledzy, dziennikarze francuscy, podczas niezapomnianego pochodu niedzielnego, niezrównane procesyi, która, że powiem prawdę, oznacza nową *datę waszej historyi.* W żadnym kraju, w równych warunkach co wy żyjącym, z tą samą *harmonią* serc i nadziei nie możnaby ujrzeć armii pokojowej, złożonej z tak *braterskiego związku wszystkich warstw społecznych.*. U was szlachta, mieszczanie, rzemieślnicy i włościanie, wszyscy ukazali się oczom naszym, idący, jak bije jedno serce, równym krokiem wszyscy do jednego celu. Oto co podziwiam najbardziej: wasz *lud,* waszych dumnych i odważnych włościan, którzy bliżej od szlachty i inteligencyi są ziemi macierzystej; są oni bardziej od tamtych z roli samej zrodzeni. Zagłębiając swój pług w ziemię żywicielkę, odkrywają, powracają, wdychają i wchłaniają duszę przodków. Tak uprawiając ziemię, znajdują w niej łatwiej od innych duszę ojczyzny swojej. Tak dzisiejszy lud staje się bratem tych z pod Grunwaldu: „niech żyją włościanie, *strażnicy duszy polskiej!*"

* * *

Były więc uroczystości grunwaldzkie hołdem przeszłości, uczczeniem wewnętrznych sił narodo-

wych, wyrażającym się przedewszystkiem w ludzie, były nie mniej wyrazem konsolidacyi wewnętrznej: terytoryalnej i społecznej — a także wzrostu znaczenia u obcych.

Konsolidacya *terytoryalna:* wszak w uroczystości uczestniczyli reprezentanci wszystkich dzielnic Polski, uczestniczyli w niej jeśli nie osobiście to duchem niemal wszystkie skupienia Polaków zesłanych na emigracyę; uczestniczyli także reprezentanci Nowej Polski za Oceanem, która po raz pierwszy wysłała do starego kraju, do Ojczyzny swoje przedstawicielstwo oficyalne. Tak licznego terytoryalnie, skupiającego wszystkie wybitniejsze centra Polski zjazdu dotąd nie mieliśmy: Grunwaldowi hołd czyniła *cała* Polska.

Konsolidacya *wewnętrzna* uderzała na każdym kroku. W święto uroczyste iściły się programy polityczne i ideologie: ideał harmonii społecznej w imię haseł ogólno-narodowych, o czem przytoczyliśmy wyżej głos p. Noussanne'a, ucieleśniał się wyraziście, a praktyka samych uroczystości przeprowadzała go czynnie, z ogromną konsekwencyą i jednolitością. Nie było ani jednego momentu, w którym zarysowaćby się mogła nie harmonia spospołeczna, widać było wszędy, jak tendencya zrównania wszystkich stanów wedle wspólnych obowiązków i praw wpaja się w ogół systematycznie, wnika w jego krew, przekonani najgłębsze. I ta konsolidacya wewnętrzna wyrażała się również w tej samej uroczystości: największy artysta stawiał własnym sumptem pomnik, — dzieło sztuki wysokiej dla narodu całego, dla podniesienia jego kultury i ducha, „Praojcom na chwałę„ — „braciom na otuchę"; największy mistrz pióra Henryk Sienkiewicz w dziele, czerpanem z tych motywów (w „Krzyżakach") zostawiał najwspanialszy swój utwór, największy mistrz tonów Ignacy Paderewski budował z tych motywów piękny pomnik przeszłości, a sobie skarbił niezatarte imię obywatela-Polaka.

Była uroczystość grunwaldzka wyrazem wzrostu *znaczenia Polski u obcych.* Prasa całego świata cywilizowanego poświęciła i samemu wypadkowi historycznemu i naszemu narodowi osobne roztrząsania, wiele pism przysłało swoich sprawozdawców, a na samej uroczystości byli obecni przedstawiciele dużej opinii Francyi, Czech, Słoweńców, Chorwatów, Węgrów i części Rosyi. Nie można i nie wolno z tego powodu oddawać się jakimkolwiek złudzeniom. Jakiekolwiek liczenia zarówno w momentach decydujących, jak w wypadkach znaczenia mniejszego na pomoc i współdziałanie obce — są bardzo ryzykowne. Nie mniej w grze parlamentarnej i dyplomatycznej bardzo pożądane jest wygrywanie obcych, bo to dodaje siły własnym posunięciom a wrogów zazwyczaj rozbija. Z praktyki własnej wiemy atoli, że najwięcej sojuszników znajduje ten, kto umie zachować godność swoją i kto ma — siłę. Grunwald był wyrazem naszej siły i on zjedna nam niewątpliwie nowych sojuszników.

* * *

Na parę dni przed uroczystościami grunwaldzkiemi w Sofii, stolicy królestwa bułgarskiego, obradował przez trzy dni *„kongres wszechsłowiański"*. Był to niejako dalszy ciąg konferencyi praskiej z lipca 1908 r. — a właściwie oznaczał likwidacyę t. zw. neoslawizmu". Ruch nowosłowiański opierał się na zasadzie równouprawnienia narodów — ale w praktyce w Rosyi obudził dążenia panslawistyczne, t. j. nadzieje na przewodnictwo Rosyi w całym ruchu wszechsłowiańskim i na rozpostarcie wpływów, a bodaj nawet panowania Rosyi na wszystkich Słowian.

Kongres słowiański, jakkolwiek powziął uchwały, wedle których ma powstać słowiańskie biuro informacyjne i bank słowiański, a więc instytucye, które korzyść przyniosą wyłącznie samym Rosyanom, zrobił kompetentne fiasko. Nie brali w nim udziału ani Polacy ani Rusini, a wielu Bułgarów, Serbów, Chorwatów, a nawet Czechów protestowało przeciw supremacyi rosyjskiej. Głównym atoli powodem nieudania się kongresu to abstynencya Polaków: kwestya polska, jakkolwiek zupełnie nie stała na porządku dziennym, wybiła się na czoło tych obrad; podobnie jak na konferencyi praskiej, tak i na kongresie sofijskim uznano, że sprawa polska jest czynnikiem pierwszorzędnym, że bez porozumienia rosyjsko-polskiego nie można kontynuować ruchu nowosłowiańskiego, nie można postępom idei nowosłowiańskiej rokować żadnej przysłości.

* * *

Nie idziemy już na lep pięknie brzmiących, ale oszołomiających swą treścią frazesów: umieliśmy przed kongresem sofijskim zaznaczyć dobitnie swoje stanowisko — a w uroczystościach grunwaldzkich wewnętrzną wartość, spoistość, tężyznę i siłę — a także trzeźwą mądrość polityczną. Nasza samowiedza polityczna nie pozwoliła z uroczystości tych urządzić żadnej igraszki demonstracyjnej, ale uczyniła dostojne święto narodowe, a my po „napiciu się, nadyszeniu polskości" w tem Soplicowie polskiem wracamy z tem większą energią i hartem do wysileń zmudnych i codziennej walki.

***

Hołd królowej Jadwidze.

Nad całemi uroczystościami grunwaldskiemi w Krakowie górowała postać króla-bohatera, nie zapomniano jednak i o królowej Jadwidze. Nie było Jej coprawda na oficyalnym programie, ale imię Jej żyło i upominało się o swe prawa w sercach tych nieprzeliczonych rzesz, przybyłych z różnych stron kraju i z poza oceanu. Wystarczyło poruszyć tę strunę, przypomnieć, że rocznica śmierci Jadwigi schodzi się z rocznicą wiekopomnego zwycięstwa, ażeby te tłumy pośpieszyły na Wawel i złożyły cichej zasłudze swej królowej-apostołki hołd najwspanialszy i najrzewniejszy, jakiego katedra wawelska już dawno nie była widownią.

Staraniem polskiego Związku niewiast katol. urządzone, a przez ks. biskupa Bandurskiego odprawione w sobotę 16 lipca nabożeństwo, ściągnęło tysiączne tłumy, a w tym tłumie byli przedstawiciele nietylko trzech dzielnic, Wielkopolski, Galicyi i Królestwa, lecz wszystkich ważniejszych okolic dawnej Rzeczypospolitej. I czuło się, że w tym potężnym tłumie jedna zagrała dusza znowu zjednoczonej Polski u grobowej płyty królowej Jadwigi. Wszystkie stany, wszystkie warstwy społeczne stanęły tu jak dawniej obok siebie jednym owiane duchem. Do Mszy św. służyli ks. biskupowi: Czartoryski, Sapiecha, Tarnowski i Szembek.

Gdy po odprawionej Mszy św. ksiądz biskup wstąpił na ambonę, natchnione jego słowa wydobyły to, co tkwiło na dnie wszystkich serc i umysłów, dały wyraz tym uczuciom, co łzami spływały po rozognionych obliczach. Czuli wszyscy wraz z wymownym czcicielem królowej, „że bliska jest droga od wspaniałego pomnika Jagiełły do skromnej płyty i sarkofagu Jadwigi“, że ścisły zachodzi związek między akordem tryumfu dnia poprzedniego, a cichym, religijnym nastrojem tej Mszy, przed chwilą odprawionej. I bólem ścisnęły się serca, gdy przeciwstawił ks. biskup to, co dokonało dla Polski zaparcie się i miłość ofiarna Jadwigi — doli dzisiejszej: tryumf przemocy krzyżackiej, rozpadanie się dzieła Unii, rozterki wewnętrzne...

Lecz nam nie wolno oddawać się rozpaczy i potrzeba nam tylko hasła, któreby nas mogło znowu zjednoczyć około jednej wielkiej myśli, a tym hasłem — *to cześć Jadwigi, to wiara w Jej orędownictwo.*

Do Niej potrzeba nam się zwrócić, błagać Ją o widome znaki Jej opieki, domagać się od Niej cudów, a gdy te przyjdą — Jadwiga stanie się naszą patronką i znowu do weselszej powiedzie nas przyszłości.

W szczerem polu.

„Boże! Boże jedyny! kiej o szczęściu swem marzę: to śni mi się swój zagon na swój chlebuś i warzę! Dwa stajonka jarzyny, dwa pszenicy, dwa żyta...

A w pośrodku chałupa, a w chałupie kobieta! Taka sobie swoista, czy Maryna, czy Zocha, co — jak robi, to robi, a kiej kocha, to kocha!“

I — nie wiem, jak komu, ale mnie, ile razy byłem w szczerem polu i popatrzyłem po tej naszej ziemi, to zawsze mi się wydało, jakbym na jaką dziewuchę poglądał.

Wiosna... Już rola nikiej dziewka
W przedślub — obmyła piersi gołe...
Już zagonami chodzi śpiewka,
Już Maciej wyjrzał za stodołę,
Już i Maryśce się majaczy:
Zali gdzie boćka nie zobaczy?

Wyszła, zatknęła kieckę w pasie... patrzy przez palce, kiej przez szpary.. A tak jej w duszy cocik ma się, jak onej ziemi pod siew jary, tak jej się cosik w ślepkach pali, że jeno pługa daj ze stali.

To kwiecień.

A potem przychodzi kochanek-maj, jak do narzeczonej dziewczyny, schodzi. No i kochanie gotowe i weselisko, jak się patrzy:

Cztery niedziele w krąg,
Kiej w odpustny dzień w kościele
Przystraja się kierz, czy ziele
W nową kiść a pąk
Barwisty,
W nową kiść a pąk.

Wystrzeliły hen! miedzami ostromlecze, mak, wstały trzciny nad wodami, brzękły pszczółki czereśniami, wyjrzał bzowy krzak okienkiem! zakwitł bzowy kwiat!

A potem, już po ślubie, po oczepinach — czerwiec.

Ziemia już matką.

Leży, jak była przed zimami,
Zanim ją mroźne skuły lody —
Z rodną nadzieją nad bróżdami
Z potęgą życia, o piersi młodej —
Silna — by dźwignąć każde brzemię
I wnieść je kłosem ponad ziemię.

Już urodziła. Już zagonami ruń zielona w kłos przechodzi, już po niwach srebrne strugi żyta falują.

I oto, jak na pierwsze chrzciny, idzie od wsi lud zbożny z procesyą, bić pokłon macierzystwu



Ignacy Paderewski.

ziemi. Wieją nad nią chorągwie kościelne, dymią jej kadzidła woniejące, wianuszki święcone po kopczykach granicznych zatykają.

I leci nad nią ze słowami Ewangelii prośba ludu o błogosławieństwo, pieśń-modlitwa, pieśń-prośba...

Święty Boże! Święty Wieki!...

. . . .

Od powietrza... głodu... ognia... i wojny zachowaj nas, Panie!

A ziemia modli się społem. Już urodziła... Więc karmi i żywi — dobra matka.

Już nad strugą białe gąski szczypią szczyk zielony, już na błoniu stado źróbków na woli i bydełko graniate na wygonie... A wokół wszystko rośnie i rośnie — już przez pół jakby żniwami zalatuje!

Mój ty Boże jedyny!
Inni jeżdżą nad morza!
Dla mnie niema na świecie,
Jak polskiego łan zboża!
Do kochania, do szczęścia
Jedno w myślach mi świta:
Swoja ziemia pod kłosem
I z dzieckami kobieta!

Boć i nigdzie większego szczęścia się nie czuje, jak w szczerem polu!

A i krzywdy nigdzie silniej!

K. Laskomski.



Antoni Wiwulski.



Ks. biskup Władysław Bandurski.



Król Władysław Jagiełło.



Grupa polska (strona lewa pomnika).



Grupa litewska (strona prawa pomnika).

Brzózka.

Na skraju wody, w cichej ustroni
Samotna brzózka, drzew krasawica,
Alabastrowe osłania lica
Warkoczem liści majowej woni.

Na traw kobiercu oparłszy stopy
W przezroczej fali patrzy zwierciadło,
Gdzie się złociste słońce pokładło,
I cudnych niebios widnieją stropy..

W śnie błogiej ciszy płyną jej lata,
Wśród łanów kwieciem zasianych wkoło;
Czasem zbłąkany muśnie ją w czoło
Motyl, — lub ptaszę z piosnką dolata.

Nieraz w jej w cieniu losem znękany
Pielgrzym tej ziemi szuka wytchnienia.
I dawnych dziejów budząc wspomnienia
Silniejszy wraca w rodzinne ściany!

Prawdomir.

Rozkosze syberyjskie.

St. Sudżenka, w czerwcu.

Mieszkając przez lat już 11-cie na Syberyi w okolicach Tomska, Marjińska i Mikołajewska, pragnąłbym coś nie coś opowiedzieć o owych rzekomych rozkoszach jakie tu spotykają tych rodaków moich, którym źli ludzie proponują poszukiwanie chleba na Syberyi.

Pod względem materyalnym bywa istotnie niektórym przesiedleńcom nie najgorzej, ale tym tylko, którzy przywieźli ze sobą z kraju dostatni fundusz. Biedaków, którym w kraju doskwierała bieda, czeka tutaj nędza, a nawet śmierć głodowa.

Iluż to w obecnym czasie jest włóczęgów w naszej Sudżence. Każdego dnia niemal po 15 przychodzi rodaków z prośbą o kawałek chleba a wszyscy opowiadają, że na wsi dużo ludzi umiera.

Wydzielają wprawdzie przesiedleńcom grunty ale w zaroślach. Ile to potrzeba użyć pracy, chcąc je oczyścić, a z czego żyć w czasie dokonywania tej roboty?

A gdy nawet dano przypadkiem jakąś glebę bezleśną, o którą — nawiasem mówiąc — bardzo jest trudno, to bez dachu nad głową nie można przecież nawet letnią porą istnieć. Takich śmiałków pokąsałyby na śmierć komary i muchy. Bez siatki na głowie nie można w polu pracować taka tutaj robactwa tego obfitość. Zresztą bez inwentarza i narzędzi rolniczych, czy podobna zakładać gospodarstwo?

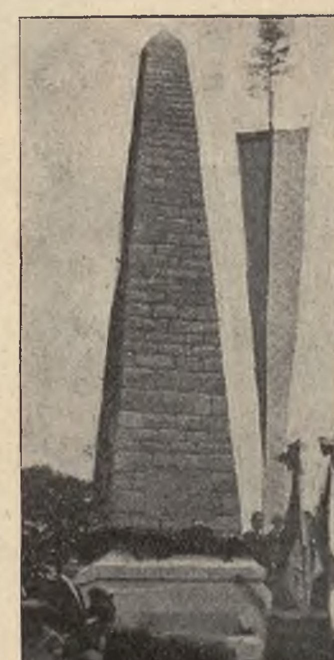
Lato trwa najdłużej 4 miesiące, t. j. maj, czerwiec, lipiec i sierpień. Resztę miesięcy zabiera zima. Niema nawet wiosny, ani jesieni, bo mrozy w tym okresie czasu są tu daleko większe, aniżeli w kraju w czasie zimy. Zimą zaś mrozy dosięgają 40 stopni, a zawsze 35 – 37.

W zimie, gdy ręką dotknąć żelaza, to skóra zostanie tak przypieczona, jakby ono było rozpalone w ogniu.

Prawie połowa przesiedleńców, przekonawszy się o tych warunkach życia, powraca do kraju, a pozostają tylko ci, którzy mają większy fundusz albo też, straciwszy go, nie mają za co wrócić.

Kury na Syberyi trzymane są w mieszkaniach, gleba zaś, jeżeli nawet jest urodzajna, to tylko dlatego, że przez częste zasiewy nie wyczerpała jeszcze swych soków żywotnich. Trzeba jednak, jak powiedziałem, oczyścić ją z lasów lub karczy.

Gdzie trafią się lasy, zdatne na budulec zostaną sprzedane. Pieniądze, zyskane w ten sposób służą przez pewien czas do opędzenia codziennych potrzeb życia, lecz gdy ich zabraknie, to i cała podstawa istnienia upada, pozostaje tylko tułaczka żebracza wśród ludzi obcych, od których trudno spodziewać się współczucia.



Pomnik w Żywcu.

Ciekawi są zapewne czytelnicy, jak wysoka jest skala tutejszych zarobków. I niemi służę: Oto robotnik kolejowy zarabia 1 70 mk. dziennie, o ile jest posiadaczem konia, otrzymuje 3,25 mk. utrzymuje się przytem całkowicie z własnych środków. Urzędnicy zaś kolejowi mają rocznej pensyi niespełna 1500 mk. oraz mieszkanie, światło i opał.

Tak się oto, rodacy moi, przedstawiają rozkosze... syberyjskie.

Adam Łuniewski.

Hygiena w dawnej Polsce.

Jedna z najmłodszych gałęzi nauki, do niedawna prawie zupełnie zaniedbana, jest hygiena, nauka o zachowaniu zdrowia.

Zapewne, że i w najwcześniejszych epokach istnienia człowieka spotykamy się ze staraniem jego o ochronę wpływów szkodliwych zewnętrznych — z czynami, wkraczającymi w dziedzinę hygieny w najogólniejszem znaczeniu, jak np. wyszukiwanie jaskiń na mieszkania, odnajdywanie materyału dla przygotowywania pożywienia, usuwanie nieczystości z najbliższego otoczenia itp. rzeczy.

Ciekawe są wiadomości, które zachowały się o początkach hygieny w dawnej Polsce. Podług interesującej książki dra Giedrojcia, wydanej co dopiero w Warszawie, istniały już od XIII wieku w Polsce kanały miejskie, albo powierzchowne, odpowiadające dzisiejszym ściekom ulicznym, albo głębokie, często podziemne, służące do odpływu wód deszczowych, lub też kanały, przeznaczone li tylko do wydalania z miast nieczystości.

Utrzymywanie tych i tym podobnych kanałów, uregulowane konstytucyą z 1683 roku, było obowiązkiem właścicieli domów, oraz senatorów duchownych i świeckich i urzędników koronnych.

Dozór zaś nad nimi powierzony był oficyaliście, „rynsztokowym“ zwanemu, który naprzykład w Poznaniu pobierał 260 złotych pensyi rocznej.

Są to jednakże przejawy doświadczeń, zdobytych na drodze instynktu w epoce wykształcenia się człowieka naszego typu, a nie na drodze poznania najogólniejszej chociażby hygieny.

Dopiero w znacznie późniejszej epoce rozwoju ludzkości, mogła powoli budzić się troska o środki i sposoby zachowywania jednostki i społeczeństw, ale zawsze jeszcze nie w pojęciu naszej obecnej hygieny.

Dopiero w wieku XIII spostrzegamy zaczątki u narodów kulturalnych hygieny, zbliżającej się swymi celami do naszych pojęć i usiłowań. Jako przykład wymienię Polskę, która równocześnie krocząc z postępem ówczesnej kultury Europy, już w XIII wieku dbała o urządzenia hygieniczne.

Zaopatrywanie zaś miast w wodę, czyli urządzanie wodociągów, dokonywano w Polsce już dawnemi czasy, do budowy ich używano specyalistów, do których zaliczano swego czasu w pierwszym rzędzie Mikołaja Kopernika, który urządził wodociągi nawet w licznych miastach pruskich.

Że wodociągi były naonczas w Polsce instytucyą znaną i rozpowszechnioną, świadczy przywilej Kazimierza Jagiellończyka z roku 1461, dla miasta Krosna, w którym król zezwala, by „na wzór innych miast Rzeczypospolitej“ urządzono tam wodociągi. W XIII też wieku przeprowadzili Dominikanie wodę do klasztorów swoich w Krakowie i w Poznaniu, był to więc w tych miastach pierwszy zaczątek zaopatrywania mieszkańców we wodę wodociągową.

Mimo tych faktów nazwać trzeba hygienę jednę z najmłodszych gałęzi nauki lekarskiej.

Tłómaczy się to tem, że hygiena obecnej doby opiera się na innych zasadach, wychodzi z innego, co dawniej założenia, bo ma być nauką, normującą życie dzisiejszych narodów, dla których zmieniły się warunki bytu i utrzymania.

Dawniej żyli ludzie głównie po wsiach, pracowali przeważnie na wolnem powietrzu pod dobroczynnem działaniem promieni słonecznych, dzisiaj najczęściej pracują w zamkniętych miejscach, w zadymionych, przepełnionych szkodliwemi gazami fabrykach, lub niehygienicznych biurach, skąd wracają często do jeszcze niehygieniczniejszych mieszkań.

Marceli Prevost.

O wesołości.

Niedawno doszła nas z Ameryki wieść — jak się zdaje autentyczna, pomimo, że pochodzi z klasycznego kraju kaczek dziennikarskich — iż prezydent tej wielkiej rzeczypospolitej po dobrym obiedzie zatańczył „gigue“ przed swoimi gośćmi. Opowiadają dalej, że znajdujący się tam również najwyższy urzędnik sądowy naśladował go zaraz, popisując się ognistą „cachuchą“.



Ruiny zamku krzyżackiego Balga nad Bałtykiem.

Słyszę, jak wielu czytelników, a zwłaszcza piękne czytelniczki, potrząsając głowami twierdzą, że taka zabawa i nadmiar wesołości niegodne są tak wysokiego urzędnika. Od dawna uważają niektórzy sztywność za oznakę godności. Powierzchownemu obserwatorowi wydaje się pedantyzm jako objaw wielkiej głębokości umysłu: przypisuje on energię w myśli i działaniu jedynie ludziom sztywnym i napuszonym.

Ludziom, nie mającym wiele rozumu i pustą głowę, można poważnie radzić, aby przybrali choćby tylko maskę rozumnych i mówili ile możności jak najmniej. Lecz ci, co posiadają umysł jasny i otwarte serce, mogą się spokojnie oddawać wesołości, która ich zdobi i jest objawem zupełnego zdrowia duszy i ciała. Historya wielkich mężów wszystkich czasów uczy nas, że i oni — z wyjątkiem chorych — w kole zaufanych przyjaciół byli najweselszymi, najswobodniejszymi towarzyszami.

* * *

Szczególniej u kobiet wesołość jest przymiotem nader sympatycznym i cennym, ponieważ u nich rzadko wyradza się w swawolę i brutalność, jak u mężczyzn.

Kobieta ma zbyt wiele taktu, aby wybuchom swej wesołości dawać brzydką formę. Zaleca się wesołość przedewszystkiem młodym dziewczętom, gdy są same pomiędzy sobą. Dla strapionego serca niema nic bardziej orzeźwiającego i kojącego nad ich tryskającą wesołość; takie młodziutkie stworzenie śmieje się nieraz bez widocznego powodu — zupełnie nagle i niespodzianie. Surowi rodzice, zrzędzący wychowawcy, nie gańcie tego niewinnego śmiechu! Osoba dwudziestoletnia rzadko wtedy wie, dlaczego jej nadmiar sił, jej niespożyte zdrowie, jej nadzieje, jej przyszłość, znajdują tak miły wyraz, ale te wesołe dźwięki zgadzają się zupełnie z czystym akordem nastroju wiosennego. Pozwólcie młodym dziewczętom śmiać się bez przeszkody! Cieszcie się razem z niemi, inaczej nie zasługujecie wogóle na udział w szczęściu, podobni do owych pogardliwych mizantropów, którzy zabijają ptaki pod pozorem, że ich śpiew przeszkadza im w ważniejszych zajęciach.

„Chociaż przyznajemy — mówią niektórzy zgryźliwi mentorzy — że śmiech jest nienaruszalną właściwością młodości, to nadmiar żywego temperamentu prowadzi do zbytku; kwiecień życia nie może się obyć bez złudzeń, ale czyż matka rodziny nie winna mężowi, dzieciom, a przedewszystkiem sobie samej, spokoju, powagi, godności?“.

Wiem, że dzisiejsza moda intelektualna, szczególniej w wyższych sferach, żąda, aby kobieta była zblazowaną, bez złudzeń, rozczarowaną życiem



Podwórzec zamku królewskiego na Wawelu.

i najbliższem otoczeniem. Gąska, licząca dwadzieścia pięć lub trzydzieści wiosen, zamężna od pięciu lub sześciu lat, sieje na prawo i lewo pesymistyczne aforyzmy, które uważa za nowe i oryginalne; o życiu wogóle, a w szczególności o małżeństwie. Śmiało wypowiada różne wielkie zdania: „Małżeństwo jest rozczarowaniem; żaden mężczyzna nic nie wart, przyjaźń to czcze słowo; świat płaci niewdzięcznością“. Krótko mówiąc, że życie jest okrutną zabawką, a najlepiej wcale się nie rodzić. Nagadawszy się tak, biegnie przymierzać suknię, albo na ploteczki, rauty i bale.

Prawda, że życie jest pełne przeciwności wszelkiego rodzaju, ale, że pomimo dowodzeń pesymistycznych filozofów i paplaniny gąsek światowych, nie może być tak złem, jak twierdzą, tego dowodzi zwłaszcza ta okoliczność, iż wszyscy tak mocno do życia jesteśmy przywiązani, starzy i młodzi, bogaci i biedni, chorzy i zdrowi. Pragniemy żyć i tym, których szczerze kochamy, życzymy długich lat życia.

Powiecie, iż życie to walka, a nie zabawa? Idźcie tedy do walki śpiewając; jest to pięknie i odważnie.

* * *

Młode panie, które otrzymałyście od natury cenny dar wesołego usposobienia, nie sądźcie, że dodacie sobie znaczenia, skoro ściągniecie twarz w ponure zmarszczki. Żaden człowiek zdrowo myślący nie poczyta was z tego tylko powodu, za „wyższe umysły“.

Fałszywa powaga, sztuczny pesymizm — oto jeden z licznych błędów, jeden z grzechów przeciwko duchowi prostoty, jakie można słusznie zarzucić nowoczesnej kobiecie — no i mężczyźnie.

Mógłby mi ktoś dowodzić, iż wiele kobiet i mężczyzn niema wesołego usposobienia i z natury skłania się ku melancholii. Ci ludzie są chorzy — oto moje miarodajne zdanie o nich. Chroniczny smutek był zawsze u wszelkich żyjących stworzeń znakiem choroby, widzimy to najwyraźniej u tych organizmów, u których nie może być mowy o pozowaniu — u roślin i zwierząt. Jedno z najdobroczynniejszych praw natury sprawia, że najcięższe cierpienia, najokrutniejsze psychiczne bóle u zdrowego człowieka, tracą stopniowo żądło zatrute, że czas kojący zwycięża szkodliwy pierwiastek chorobotwórczy.

Rozumie się, że każda głęboka rana pozostawia blizny, wyciska, że tak powiem, znamię

na duszy, ale zabliźnione rany nie tamują stale rozwoju duchowego i nie na długo wstrzymują przypływ soków żywotnych.

Umyślne i uparte powracanie do minionych bólów, chorobliwe życzenie „niezapomnienia ich nigdy“, nie może trwać długo, jeżeli dusza i ciało są zdrowe i silne. Bezustanne odnawianie się naszej duszy, stopniowe zbawienne odpieranie niechęci, uczuć bolesnych, żywe pragnienie przeobrażeń dusznych jest dla mnie największym i najpiękniejszym z cudów. Więc szanujmy te odwieczne prawa, nie buntujmy się przeciwko nim! Nie dowierzajmy uczuciu, które kazuiści nazwali „radością z bólu“ i które potępiają jako fałszywe i niezdrowe. Nie bądźmy przedewszystkiem dumnymi z niego i nie wyobrażajmy sobie, że działamy coś wielkiego, pielęgnując w sobie to niezdrowe uczucie. Znaczyłoby to pysznić się słabością i być dumnym z choroby.

Zdrowie ciała i duszy wyklucza chroniczny smutek: zgadza się za to doskonale z nadmiarem wesołości, jaką okazywał prezydent Taft.

Całus i kobieta.

Całowanie powstało w Indyach wśród plemienia Aryi, do którego należą Słowianie i Germanie, których kolebki szukać należy w tych krainach, wśród wyznawców Buddy, których ilość obecnie jeszcze równa się ilości chrześcian w świecie całym, w czasach przejścia ewolucyjnego społecznego stanowiska kobiety. Przejście to zapoczątkował Budda, prawodawca i twórca religii budystycznej.

Filozof religijny Konfucyusz w Chinach uważał za główną podstawę swej religii: odosobnienie kobiety i uczynienie z niej niewolnicy ogniska domowego.

Widocznie w czasach owych odznaczać się musiały kobiety żywością temperamentu i lekkością obyczajów, zaprowadził on tedy sznurowanie nóg dzieciom płci żeńskiej, tak, że dziecko, gdy podrosło, nie mogło się poruszać o własnej sile. Sznurowane od dzieciństwa nogi nabrały kształtów nieforemnych, a kobieta tem samem skazana była na ciągłe przebywanie w domu i strzedz jej niebyło potrzeba.

W Chinach utrzymał się ten zwyczaj aż do obecnego czasu, uważać zatem można z tego powodu Chinki za najwierniejsze małżonki w świecie.

W Niemczech liczne koła „nadludzi“ chcąc dojść do zupełnej perfekcyi w odosobnianiu kobiet zupełnie seryo podobno zamierzają brać wzory ze zwyczai chińskich.

Twórcy religii buddystycznej i następcy jego walkę tocząc z wyznawcami Konfucyusza dla zapewnienia sobie zwolenników, posunęli się nieco dalej, zaprowadzając wielożeństwo z uwzględnieniem jednej głównej żony.

Żony po śmierci małżonka palono na stosie wraż z jego zwłokami. Troskliwość zatem tychże o zdrowie i dobrobyt małżonka i wierność już z samych tych powodów była bardzo wielka.

Zaślubiny odbywają się dotąd w Indyach uroczystym całusem jako znakiem całkowitego oddania się kobiety małżonkowi.

Religia chrześciańska, mimo, że opiera się na podstawach buddystycznych w zaczątkach zaprowadzała zupełne odosobnienie kobiety od mężczyzny i wogóle idealizowanie kobiety i wyzwolenie z więzów poddania się zupełnego mężczyźnie ją posiadającego.

Żydzi, którzy ucinali włosy kobietom zaślubionym, aby się innym podobać nie mogły, z zaciętością zwrócili się przeciwko tej inowacyi, nie chcąc pozwolić na wyzwolenie kobiety z jarzma małżeńskiego, szczególnie u narodu kramarskiego, zajmującego się długimi kupieckimi wyprawami.

Religii chrześciańskiej zatem należy się zasługa postawienia kobiety na wyższy stopień społeczny i usamodzielnienia jej; ale usamodzielnienie to w wiekach średnich, mimo, że dało pochop do rozwoju sztuki, poezyi, i literatury, doszło wskutek wojen do wielkiego rozluźnienia obyczajów, tak, że naznaczać musiano surowe kary za publiczne zgorszenie.

W wielu miastach włoskich palono przestępców za to przewinienie na stosie; kobiety zaś oddające się nierządowi zmuszone były nosić woalki żółte. Mimo to wolne oddawanie się kobiety mężczyźnie, nawet w sferach najwyższych, nie było wielce skrępowane.

Za to zaczepianie kobiet na ulicy ścigano bardzo surowo, bez różnicy czy to była kobieta lekkich obyczajów, czy nie, a całowanie uchodzące za akt wzięcia kobiety w posiadanie, skoro nastąpiło wbrew jej woli, uważano za zhańbienie i ścigano aż do najnowszych czasów bardzo surowo.

Ustawodawstwo amerykańskie za pocałowanie kobiety wbrew jej woli, naznacza niezwykle wysokie kary, tak, że wyroki sądów amerykańskich budzą nieraz śmiech i zadziwienie u nieznających stosunków tamtejszych.

Poszanowanie i znaczenie rzeczy pewnej, jest tem większe, im trudniejsze uzyskanie tejże, nie powinno zatem Europejczyków zbytnio dziwić zrównanie praw kobiet z prawami mężczyzn tam, gdzie zaludnianie odbywało się napływowo i stosunek procentowy kobiet i mężczyzn jest nie równy.

Uszanowanie kobiety w Ameryce w stosunkach społecznych i surowe ściganie uchybiań zwłaszcza formie towarzyskiej, mimo, że zastosowane w Europie nie byłoby praktyczne, oddziaływanie zaś takich zastosowań bardzo niekorzystne tak dla rozwoju sztuki, poezyi i literatury, jak i wogóle dla samowolnego i samodzielnego odczuwania względów idealnych wobec kobiet jako płci słabszej i przez naturę hojniej od płci męskiej uposażonej jest tam koniecznością. Powody są same z siebie zrozumiałe, jeśli się zważy na różnorodność żywiołów i temperamentów u ludzi, którzy do Ameryki przybyli, walczyć o byt i zarabiać sobie jakimkolwiekbądź sposobem fortuny, mając tam lepszą do tego sposobność niż w Europie.

O wiele większą ciekawość budzi wiadomość, że w Rzymie, około r. 1700 naznaczone były sroższe kary za całusy, niż obecnie w Ameryce.

I tak wyszedł w r. 1727, za papieża Benedykta XIII, gdy namiestnikiem Rzymu był monsignore Banchieri, z drukarni papieskiej edykt drukowany, którego paragraf 81 opiewał jak następuje: „Kto próbowałby przemocą pocałować kobietę porządną, nawet gdyby nie wyciskał całusa, tylko ją objął lub dopuścił się innego ruchu, zbliżonego do całusa, ma być skazany na dożywotne galery, a jego majątek skonfiskowany; jeżeli ktoś się dopuści pocałowania, celem zmuszenia do małżeństwa, lub przeszkodzenia temuż, to ma podledz, jeżeli namiestnik uzna za stosowne, karze śmierci... Oświadcza się, że w razie ogłoszenia wyroku śmierci, niepełnoletność niema znaczenia, jeżeli skazany nie udowodni, że liczy mniej niż lat dwadzieścia. Przy wyroku, skazującym na dożywotnie galery i konfiskatę majątku, niepełnoletność jest okolicznością łagodzącą w razie udowodnienia przez niego, że nie skończył jeszcze osiemnastego roku życia“.

Oczywiście, że w czasach teraźniejszych w Europie trudno o podobne przewinienia, a postęp, co dotyczy poszanowania kobiety jako osobnika słabszego, nie potrzebuje wyznaczania kar za całowanie na ulicy, który to produkt amerykański, mimo „małpowania“ Ameryki i przyjmowania tamtejszych zwyczai szczególniej przez feministyczny ruch uniwersytecki i mrzonki zaprowadzenia pokoju powszechnego z kobietą i przez kobiety dotąd nie zaaklimatyzował się w Europie.

Nasze ilustracye.

W numerze dzisiejszym pisma naszego dajemy przedewszystkiem ilustracye, mające związek już to z obchodem pięćsetnej rocznicy grunwaldzkiej w Krakowie, już też z dziejami z epoki Jagiellonów. I tak na wstępie mamy piękną płaskorzeźbę Makowskiego, w której artysta utrwalił portret **Ignacego Paderewskiego,** największego muzyka polskiego w dobie ostatniej, który dziełami swymi muzycznemi i grą mistrzowską rozsławił Polskę na świat cały. Nadto Paderewski jest wielkim obywatelem Rzeczypospolitej polskiej, miłującym nadewszystko Ojczyznę. Ojczyźnie złożył sztukę swoją w ofierze, Ojczyźnie dał **pomnik Władysława Jagiełły,** z którego zamieszczamy dziś trzy wyjątki. Dalej widzimy portret **Antoniego Wiwulskiego,** artysty rzeźbiarza, który wspomniany pomnik stworzył i wykonał na chwałę rzeźby polskiej. Obok widnieje portret **ks. biskupa Bandurskiego,** gorącego patryoty, natchnionego kaznodziei, którego przyszłość postawi w szeregu mężów opatrznościowych tej miary co X. Skarga, X. Kordecki, Ojciec Marek. Wreszcie ostatnia ilustracya, to **podwórze zamku królewskiego na Wawelu.** Rycina ta przedstawia fasadę wewnętrzną zamku z czasów Władysława Jagiełły. Po prawej stronie na pierwszem piętrze siedzi król otoczony dworem, przyglądając się rycerskim gonitwom. Na lewo gromada trębaczy daje hasło do turnieju, w którym walczy dwóch rycerzy na środku dziedzińca.

TO I OWO.

Tajemnicze zabójstwo.

W Londynie natrafiono na ślad zbrodni strasznej i tajemniczej, dokonanej na Polce.

W zachodniej części Londynu, Hilldrop Crescent, mieszkali w pięknym domu, naprzeciwko jednego z parków publicznych, małżonkowie Crippen. On, amerykanin, był doktorem medycyny, miał powierzchowność mało ponętną. Krótki, gruby, rudy, z długą wijącą się brodą, liczył już

lat 50. Ona najwyżej trzydziestoletnia, piękna Polka, bardzo elegancka, była córką zmarłego w Brooklynie emigranta Maszomackiego (może Makomaskiego?) i posiadała niemały rozgłos w kabaretach Londynu pod nazwą „Belle Elmore“.

Państwo Crippen mało się udzielali sąsiadom. Bywało u nich wiele osób ze sfer teatralnych oraz kolonii amerykańskiej w Londynie.

Pewnego dnia piękna pani Crippen znikła z Londynu. Dr. Crippen mówił znajomym, że wyjechała na kontynent do jednej z miejscowości kuracyjnych, a w jakiś czas później, w marcu pojawiła się w jednem z pism teatralnych wiadomość, że „miss Belle Elmore“ nagle umarła w tej samej kuracyjnej miejscowości, o której wspominał jej mąż.

Upłynęło kilka miesięcy. O pięknej Polce już prawie zapomniano, gdy nagle nadeszła do policyi londyńskiej wiadomość, nadesłana przez nieznaną osobę, że w miejscowości, w której miała jakoby umrzeć pani Crippen, nikt nie znał ani tego nazwiska, ani „Belle Elmore“ i nikt tam nie umierał.

Policya sprawdziła tę wiadomość i zwróciła uwagę na dra Crippen, który tymczasem szybko się pocieszył po stracie żony i żył w tym samym domu z piękną Ethel de Neve, która pisała na maszynie w jego biurze już od lat dziesięciu.

Nagle Crippen i Ethel de Neve zniknęli. Policya weszła do opuszczonego domu w Hilldrop Crescent i znalazła w piwnicy, siedm stóp głęboko w ziemi zakopane, straszliwie zeszpecone ciało kobiece. Głowa miała być poprostu zmiażdżoną.

Jednocześnie policya stwierdziła, że Crippen przed wycieczką kupował męzkie ubranie dla „chłopca“. Przypuszczają, że to ubranie przeznaczone było dla jego towarzyszki, ślicznej 27-letniej kobiety, o wielkich, szarych oczach, wyższej od niego o dwa cale.

Przypuszczają, że Ethel de Neve nie wie o zbrodni Crippena. Ma to być łagodne, dobre, ujmujące stworzenie, którem doktór amerykański zawładnął zupełnie.

Trzebaby przypuścić coś zupełnie potwornego w naturze ludzkiej, żeby posądzić tę kobietę o współudział w zbrodni. Tuż nad piwnicą z zakopanem trupem pani Crippen odbywały się tańce, uczty w salonie dra Crippena.

Plaga much w Paryżu.

Paryż — prześladowany przez muchy? Pomimo, iż się nie chce temu wierzyć, jest to przecież prawdą, smutną prawdą, jak pisze „Journal des Débats“. Plaga much nad Sekwaną, że całe dzielnice, opadnięte muchami stają się prawie zupełnie niezamieszkalnemi. Całe domy od piwnic aż do strychów nie dają najmniejszego schroniska przed muchami. Nieszczęśliwi mieszkańcy tych dzielnic są zmuszeni spać pod siatkami, jak gdyby byli w Wenecyi lub też w mniej ładnych miejscach świata, gdzie znowu prześladują muchy Tse-Tse, lub ich przyjemne siostrzyce. W Paryżu zauważono już kilkakrotnie plagę much. Ulicę Louxembourg nawiedziła ona parę razy. Muchy w tej części miasta zginęły dopiero, gdy osuszono staw kaczek w ogrodzie Louxemburskim. Profesor Debove doniósł w 1901 roku Akademii medycznej, że plaga much nawiedziła ulicę La Boétie i zażądał poparty przez cały szereg innych członków Akademii, by zarządzono środki energiczne. Tego roku odczuwa najbardziej tę plagę dzielnica arystokratyczna, położona koło parku Monceau. Od wielu tygodni mieszkańcy tej dzielnicy, ażeby znaleźć choć trochę spokoju są zmuszeni spać pod siatkami. Nie mogą też żywić nadziei, by się mogli pozbyć tych dręczycielek przed jesienią. Jakkolwiek ten rodzaj much, dręczących Paryż, nie rozszerza ani czarnej febry, ani też żółtej febry, nie jest przecież wykluczone, że może szerzyć inne choroby. Badania przedsiębrane nie dały najmniejszego rezultatu co do mnożenia się tych dręczycielek w pośrodku morza kamiennego, jakiem jest wielkie miasto. Obecnie postanowiono wywieszać na domach opadniętych plagą much kartki z napisem „Dom z muchami“ a to dlatego, ażeby zmusić właścicieli tych domów do podjęcia akcyi zniszczenia tej plagi.

Kwiaty królowej Józefiny.

„Frankfurter Zeitung“ otrzymała z Paryża następującą wiadomość: Do najpiękniejszych rzeczy w zamku Molmaison, który cesarzowa Józefina, żona Napoleona I., urządziła zupełnie podług swego gustu i upodobania, należał zbiór kwiatów, złożony z najrzadszych krzewów całego świata. Każdy wyjeżdżający na morze kapitan francuski otrzymał dokładne polecenie, by pamiętał o zamiłowaniu cesarzowej do kwiatów pięknych i rzadkich. Nadsyłano więc z wszystkich części świata

najdroższe kwiaty i pączki, które cesarzowa Józefina pielęgnowała z niezwykłą pieczołowitością. Tę ozdobę kwiatową chcą obecnie znowu doprowadzić do porządku. Po odrestaurowaniu wnętrza, którego dokonał Ajalbert zarówno z taktem, jak i zrozumieniem rzeczy, postanowiono nadać parkowi wygląd dawnej i wielkiej przeszłości.

Tak zwany pawilon cesarski przeznaczono na pomieszczenie wystawy kwiatów, których dotychczas było niewiele. Organizatorzy będą unikali starannie zabicia wrażenia ogólnego, czego się dopuszczają prawie na wszystkich wystawach. Skromnie wijące się drogi, budzące wrażenie, jakby je stworzyła natura, a nie ręka ludzka, poprowadzą przez lekko falujący krajobraz, zasiany ulubionemi kwiatami cesarzowej, do sztucznej ruiny, z której wysypuje się wielka ilość kwitnących róż. Są nadzwyczajne krzewy, których w Europie nie znano wcale aż do czasów Napoleona I. W przepięknych kaskadach będą one spadały z aratu. Poszczególne polany w tym ubranym kwiatami parku, umożliwią rozglądanie się daleko w głąb ogrodu. Koło wszystkich kwiatów, a przedewszystkiem koło róż ulubionych przez cesarzową, umieszczą w dyskretnej formie napisy, zawierające nazwy kwiatów. Nazwy, które im nadała cesarzowa Józefina, a o których już dawno zapomniano. Najpiękniejszą z swych róż ochrzciła nazwą zamku. Ta nazwa brzmi: „Souvenir de Malmaison“ i jest zapewne jedyną, która się przechowała po dzień dzisiejszy. Reszta parku będzie miała również wierne kształty z początków XIX wieku wedle gustu cesarzowej. Zwiedzający zamek Malmaison i jego ogrody będzie mógł wyobrazić sobie samotną cesarzową, która się tam gryzła w bezgranicznej tęsknocie za wygasłym blaskiem i o której Napoleon I. podczas ostatniego pobytu w Malmaison się wyraził, że z nią opuściło go także szczęście.

Ubezpieczenie od deszczu.

Lato, wakacye, wieś, lasy i łąki — jakże to rozkoszne! Ale nie wówczas, gdy pada deszcz. A właśnie jakby na złość, deszcz pada w lecie najwięcej, czasem nieledwie kilka dni widzimy jasnych, ciepłych.

Naprzykład lato tegoroczne. Takie szare, ponure... Czyż nie możnaby temu jakoś zaradzić?

Myślano o tem — i znaleziono sposób: ubezpieczenie od deszczu. Nie masz letniku słońca, masz za to pieniądze!

Dotychczas ten rodzaj ubezpieczeń istnieje wprawdzie tylko w Anglii, na południowem i wschodniem wybrzeżu między miejscowościami kąpielowemi Bournemouth i Scarborugh, ale jeżeli okaże się praktycznym, może się niebawem i dalej rozszerzyć. Ubezpieczenia wprowadziło znane angielskie towarzystwo Lloyda z powodu niepomyślnych warunków atmosferycznych bieżącego rokn. Za opłatą premii 3 rb., daje Towarzystwo codziennie 15 rb. wynagrodzenia, jeżeli w ciągu tygodnia jest więcej niż dwa dni o opadzie deszczowym wielkości dziesiątej części cala. Warunkiem jednak jest, że główny opad nastąpi w dzień, nie w nocy.

Czyż nie bajeczny pomysł? Już nie będziemy mieli powodu do narzekań — przeciwnie, cieszmy się, bo jeśli tak dalej pójdzie — majątki porobimy... na deszczu.

Drobiazgi naukowe.

Edison o lotnictwie.

Niedawno pomieściło pewne amerykańskie pismo zdanie Edisona o awiatyce. „Maszyny do latania — wyraził się sławny wynalazca — rozwinęły się zbyt szybko i łatwo. Jestem przekonany, że przeznaczeniem ich jest zmienić w zupełności nasze środki komunikacyjne i wierzę głęboko, że w przeciagu 10 lat będą przewozić podróżnych i pocztę. Lecz nie będą miały takich form, jakie obecnie podziwiamy. Dzisiejszy samolot jest maszyną sportową. Zdolność unoszenia się w powiętrzu zależną jest w dwóch trzecich od aparatu, a w jednej trzeciej od umiejętności awiatora.

To nie wystarcza. Trzeba zbudować przyrządy, którymiby można było tak łatwo kierować, aby tego mógł się wyuczyć i człowiek przeciętnej średniej inteligencyi. Zdaniem mojem, obecnie używane maszyny zbudowano według fałszywej zasady.

One nie mogą podnieść się same, i trzeba je tak długo toczyć po ziemi, aż opór powietrza na ich powierzchni pozwoli się maszynie unieść. Sądzę jednak, że w przeciągu kilku lat zbudują samolot, który sam przez się potrafi się wznosić w powietrze i osiągnie swój cel przy wszelkich stanach powietrza“.

Postęp na usługach mordu.

Awiator Curtiss w Ameryce odbywa w dalszym ciągu próby rzucania pocisków wybuchowych z aeroplanu. Niedawno przedsięwziął próby trafiania i dlatego zamiast pocisków użył pomarańcza. Mimo szybkiego ruchu aeroplanu i ciągle zmieniającej się wysokości, znaczna liczba pomarańcz trafiła w pokłady okrętów stojących w porcie.

W Paryżu przedwczoraj odbyto pierwszą próbę walki aeroplanów w powietrzu. Dwaj piloci z wojskowego oddziału awiatycznego mieli za zadanie ścigać i zatrzymać dwa inne aeroplany. Koła wojskowe uważają rezultaty próby za bardzo pomyślne.

Pięć tysięcy piór stalowych.

Jakie rozmiary przyjęła produkcya przemysłowa, która zaopatruje kulę ziemską w pióra stalowe, można sobie mniej więcej przedstawić, gdy się dowiemy, że sam Birmingham, ta stolica angielskiej fabrykacyi piór stalowych, w ciągu jednego tylko tygodnia wypuszcza w świat 80 milionów sztuk. Do wyrobienia tej niesłychanej ilości piór stalowych potrzeba nie mniej jak 20 ton stali. Katalog jednej z większych fabryk wylicza około 5 000 rozmaitych wzorów, i nie popełnimy może wielkiej przesady, gdy się przyjmie, że na całym rynku znajduje się blizko 100,000 różnych form i odmian.

Stal, z której te pióra się wyrabia, przebywa podczas całego procesu wytwórczego nie mniej jak dwanaście rozmaitych stadyów. Najnowsze modele maszyn, któremi w wielkich zakładach przemysłowych wybija się pióra stalowe, są już do tego stopnia wydoskonalone, że jeden robotnik na dzień wyrobić może 45000 piór.

Najnowszą gałęzią piór stalowych jest wyrób piór srebrno - platynowo - aluminiowo - bronzowozłotych. Główną siedzibą tej fabryki są Stany Zjednoczone.

DLA ROZRYWKI

Podzielone jabłka.

W koszyku leży 5 jabłek. Jak rozdać pięciu osobom po jednem, ażeby i w koszyku jedno zostało?

W sposób bardzo prosty: pierwsze cztery osoby dostają po gołem jabłku, a piąta bierze sobie ostatnie jabłko wraz z koszykiem.

Osobliwość arytmetyczna.

Oto szereg cyfr, dzielący się bez reszty na 13.

100100	200200	300300 itd. aż do	900900
101101	201201		901901
102102	202202		. . . . .
i t. d.	i t. d.		999909.

Wszystkie cyfry od 100100 do 999999, po kolei, bez najmniejszego wyjątku, dzielą się na 13 bez reszty, o ile pierwsze trzy liczby równają się trzem drugim.

Łamigłówki.

Łamigłówka kryształowa.

Nadesłała czytelniczka Marya Haass z Rawy (Galicya).

				A				
			A	A	A			
		A	A	A	A	A		
	B	C	C	C	C	D	E	
E	G	G	H	H	H	I	I	I
	I	J	K	Ł	Ł	M	A	
		O	R	R	R	T		
			U	W	W			
				Z				

Z powyższych liter ułożyć 9 wyrazów. Litery w rzędach przekątnych stanowić mają nazwę miejscowości znanej z wojen o niepodległość Polski.

Znaczenie wyrazów:

1. Spółgłoska R
2. Skorupiak
3. Owad
4. Postać z powieści Sienkiewicza
5. ? ? ? ? ? ? ? ? ?
6. Królowa polska
7. Jedna z wysp Antylskich
8. Wykrzyknik
9. Samogłoska E

Szarada.

Pierwsze litera, lecz bardzo zmiękczona,
Drugi klei kopertę, gdy nienagumiona,
Cały — zwierzę czworonożne,
A czasami i dwunożne.

Dokładne rozwiązania łamigłówek prosimy nadsyłać najpóźniej do 4 sierpnia na ręce redakcyi.

Z rozwiązań trafnych 4 odznaczone zostaną nagrodą.

Nazwiska osób, które dobre nadeślą rozwiązania oraz tych, które otrzymają nagrodę, ogłosimy w nr. 33.

Rozwiązania

łamigłówek zamieszczonych w nr. 28.:

Logogryf.

SZAJNOCHA — ŚNIADECKI

S . obiesk . **I**
Z . ame . . **K**
A . nczy . . **C**
J . eleni . . **E**
N . emro. . **D**
O . stryg. . **A**
C . incinat. **I**
H . uraga . **N**
A . da . . . **Ś**

Łamigłówka kryształowa.

S
M **A** J
S A **R** N A
M A R **A** T O N
S A R A G O S S A
M A R **O** K K O
W I **S** Ł A
O **S** A
A

Trafne rozwiązania nadesłali:

Z Galicyi:

pp. Janina Barucka, Juliusz Bogusz, Michał Chciuk, Justyn Cholewik, Marya Dunicz, Zygmunt Gaudnik, Edmund Gibisz, Zofia Glazorowa, Emil Gruszecki, Marya Haass, Jan Habela, Zofia Halewska, Franciszek Kądziela, E. Kamiński, Józefa Konasińska, Romuald Kulczycki, Helena Myconiówna, Tadeusz Nodżyński, Karol Pacuła, A. Przywara, Stanisław Rogowski, Wilhelm Rückemann, Zosia Sawczyńska, Stanisław Sierosławski, Józef Steindl, Piotr Stolarzewicz, Walerya Strońska, Nacia Szczepańska, Kazimierz Szeliga, Franciszek Szewczyk, Bronisława Szkaradkówna, Stanisław Szostak, Stefania Wdówkówna, Anna Wełnianka, Zdz. Zaremba.

Z Księstwa Poznańskiego, Prus Zachodnich i Śląska.

pp. Stanisława Balcerska, Józef Bilski, Wanda Bocheńska, Tomasz Cichowski, T. Czarczyński, Wojciech Dziewoński, Marya Filisiewiczówna, „Janek z pod Góry Przemysława“, Zofia Janowska, Mieczysław Jarmuż, Stefcia Jaworowska, Halinka Jordanówna, Kornelia Kempa, Karol Kołodziejczyk, Helena Kornaszewska, Józef Kostro, Z. Krajewski, K. Kryszczyńska, Helena Kuberak, Leszek Kwieciński, Janina Lesicka, Prakseda Malinowska, Stanisław Markowiak, Jadwiga Nowak, Julcia Ozdowska, Bogdan Piskorski, Władysław Radziszewski, Maryan Theimert, Zofia Stachowska, Zofia Starkówna, Jan Strugarek, St. Schrepe, Stefania Szynkowska, Julia Woźnicka, L. Wyrzykowska.

Z obczyzny i zagranicy:

pp. Stefania Dużyńska (Nowe Wielce), Helena Konatkowska (Berlin), Władysław Muth (Karlshorst), Zofia Skrzypczak (Bremena), Ludwik Szymanowski (Kray-Nadrenia), Walerya Vogtowa z Wattenscheid (Westfalia).

Nagrodę otrzymali:

pp. Stanisław Szostak (Lwów), Halinka Jordanówna (Wzierzchocin p. Wronki), Nacia Szczepańska (Kraków), Z. Krajewski (Poznań).

Maurice Leblanc.

Arseniusz Lupin,

wytworny włamywacz.

Przekład **J. P.**

(Ciąg dalszy).

Żadne słowo nie padło. Wyczekiwano z niepokojem, jakgoby nagle miała się odsłonić cząsteczka prawdy. Nastrój był niezwykle uroczysty.

Wreszcie we framudze drzwi ukazał się hrabia. Blady był i wzburzony. Głosem drżącym przemówił do przyjaciół:

— Przepraszam najmocniej... odkrycia tego pana są tak nieprzewidziane... nie byłbym nigdy żądał...

Żona zapytała go z przejęciem:

— Mów... błagam cię... co się stało?..

Wyjąkał:

— Szpara istnieje... w tem samem miejscu... wzdłuż szyby.

Gwałtownym ruchem pochwycił Floriani'ego za ramię, mówiąc głosem rozkazującym:

— Proszę pana, mów pan dalej... przyznaję, że dotąd miałeś pan słuszność najzupełniejszą... lecz mów dalej. — Przecież to jeszcze nie koniec, co się stało potem?

Floriani wyswobodził się łagodnie i po chwili rzekł:

— Otóż według mnie rzecz tak się miała: Złodziej widząc, że pani de Dreux idzie na bal w naszyjniku, przerzucił kładkę podczas nieobecności państwa. Potem śledził przez okno i widział, gdzie schowaliście naszyjnik. Skoro odeszliście, przeciął szybę i pociągnął za plecionkę.

— Niech i tak będzie. Lecz odległość zbyt jest wielka, aby przez lufcik mógł dosięgnąć rączki u okna.

— Jeżeli nie mógł otworzyć okna, to znaczy, że wszedł przez lufcik.

— Niepodobieństwo. Najszczuplejszy człowiek nie byłby się przez ten lufcik przecisnął.

— W takim razie nie był to człowiek dorosły.

— Jakto?

— Stanowczo. Jeżeli dla człowieka dorosłego otwór był zbyt ciasny, musiało to być dziecko.

— Dziecko!

— Czyż nie powiedziałeś pan, że przyjaciółka państwa, Henryka, miała syna?

— Istotnie... miała syna... imieniem Raula.

— Bardzo możliwe, że to właśnie Raul popełnił kradzież...

— Jaki masz pan dowód?..

— Dowód? — Dowodów nie brak... naprzykład...

Umilkł i zamyślił się głęboko. Po kilku sekundach mówił znowu:

— Naprzykład, kładka... trudno przypuścić, ażeby dziecko mogło ją przynieść z zewnątrz i odnieć z powrotem niepostrzeżenie. Musiał wziąć to, co miał pod ręką. Czy w kuchence Henryki nie było naprzykład jakichś półek, gdzie stawiano rondle?

— Dwie półki... o ile sobie przypomnieć mogę.

— Należałoby się przekonać, czy półki te są przytwierdzone do drewnianych podpórek. W przeciwnym razie wolno nam przypuścić, że dzieciak zdjął deski ze ściany i złączył je ze sobą. Może też — skoro w kuchence jest piec — znalazłbyś pan haczyk od pieca... haczyk, za pomocą którego malec otworzył lufcik.

Bez słowa hrabia opuścił salon. Tym razem obecni nie uczuwali nawet cienia tej obawy przed nieznanem, jak poprzednio. Wiedzieli z najzupełniejszą pewnością, że przypuszczenia Floriani'ego były słuszne. Od tego człowieka promieniowała dziwna niezbita pewność. Doznawało się wrażenia, że nietylko wyprowadza wnioski ze ścisłością nieubłaganą, lecz, że opowiada o wypadkach, których autentyczność w miarę potrzeby zawsze sprawdzić można.

Nikt się nie zdziwił, gdy po powrocie hrabia oświadczył:

— Tak, to dzieciak... napewno on... Wszystko za tem przemawia.

— Widziałeś pan deski... haczyk?

— Widziałem... półki były odjęte od ściany... haczyk jeszcze się tam znajduje.

Lecz pani de Dreux-Soubise zawołała:

— On! chcesz raczej powiedzieć, że to jego matka... Henryka jedna jest winną. Ona skłoniła syna...

— Nie — zaprzeczył Floriani — matka nie gra w tem żadnej roli.

— Co też pan mówi! zajmowali ten sam pokój. Dziecko nie mogło nic zrobić bez wiedzy matki.

— Zajmowali ten sam pokój, prawda... lecz kradzież popełnioną została w pokoju sąsiednim, w nocy, gdy Henryka spała.

— A co się stało z naszyjnikiem? — zapytał hrabia. — Czemu go nie znaleziono pomiędzy rzeczami dziecka?

(Ciąg dalszy nastąpi).

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

WRZOS

NR 31

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Dwa dobre, reszta śmiecie. Muszę wygnać trenera.

I o tem słyszał już prezes oddawna, ale trener był zawsze na miejscu.

— I ja mam nowe konie dla synowej — pochwalił się.

Hrabia jakby nie słyszał. Rozparty na fotelu, był zupełnie duchem nieobecny. Po chwili otrząsnął się, roześmiał się dziwnie i wstał.

— Mój łaskawco — przyjdę jutro, aby usłyszeć decyzyę tej starej mumii na moje ultymatum. Czy Andrzeja znajdę w biurze, czy na Erywańskiej?

— Żalim jest stróżem mego syna? — odparł prezes, uśmiechem pokrywając niesmak.

Kołocki nakładał powoli rękawiczki, jakby czegoś jeszcze czekał.

— Wie pan, co mi powiedziała pani Andrzejowa? Żem kaleka! To mi się podobało! Do miłego widzenia.

I z tem wyszedł, jeszcze raz się roześmiawszy.

Wsiadł do doróżki i kazał się wieźć na Srebrną, do biura, gdzie pracował Andrzej.

Zastał go nad rysunkiem technicznym, zajętego bardzo poważnie; poza ścianą potężnym oddechem dyszały warsztaty, przez okno widać było podwórze i kotły.

— A witam! Cóż cię tu sprowadza? — zdziwił się.

— Chcę zobaczyć, jak wyglądasz żonaty, i powinszować. — Wiesz ty? Musi być smaczna twoja żona, kiedy ja mam na nią apetyt.

— Hm — to jestem od ciebie wybredniejszy, bo apetytu na nią nie mam!

— Marnotrawco — po coś ją brał zatem? Było mnie zawołać!

— No, przecież nie sądzisz, abym brał żonę z tych które się bierze bez Sakramentu!

— A teraz?

— Co teraz?

— Kiedyś tej formy dopełnił, a nie dbasz, inni mogą cię wyręczyć.

Płomień uderzył do twarzy Andrzeja: zapaliły mu się oczy.

— Nosi moje nazwisko. Zapominasz się!

— Co znowu, nazwiska jej odebrać nie myślę — odparł cynicznie Kołocki. — Zresztą mamy

dług. Pamiętasz Klarę? Zapowiadam ci, że się teraz za tamto skwitujemy.

— Gdybym cię nie znał, tobym się obraził. No, dosyć żartów. Na długoś przyjechał?

— Albo ja wiem? Jak mi się podoba.

— Przyjdziesz w piątek na Erywańską?

— Jakto? Ty jeszcze tam tkwisz? Toś wołowina!

— Zielona zazdrość wyziera ci przez oczy.

— A u ciebie żółta młodość. Nie lubię ogranych kart. Dobre to dla emerytów, do pasyansa. Nie — na Erywańską nie pójdę.

— Byłeś u ojca?

— Byłem i będę jeszcze często. Nie lękasz się?

— Bynajmniej.

— Źle robisz. Na twojem miejscu wymówiłbym dom. Śliczna jest twoja żona, a ty jesteś nosorożec.

Andrzej brwiami poruszył.

— Aleś figla spłatał! I pocóż się ożeniłeś? Nie jesteś bankrut, ani parwena.

— Tak wypadło. Dokuczyło mi piekło z ojcem, i kawalerski bezład w domu! Teraz mam spokój!

— Już ja się postaram, żebyś w tym spokoju nie spleśniał! No, bywaj zdrów — jadę do klubu. Chciałbym się zgrać do nitki: byłby to dobry prognostyk.

Po odejściu mentora, Andrzej znowu robotą się zajął, ale pierwszy raz w życiu myślał o żonie.

Zachwyt Radlicza był pustotą, może chęcią dręczenia pani Celiny, ale pochwała takiego znawcy, jak Kołocki, była czemś szczególnem. Może i on żartował z niego!

Stało się jednak, że Andrzej zamiast o piątej, o czwartej złożył robotę i poszedł do domu.

— Jest pan? — spytał.

— Niema — odparł Jan mrukliwie.

— A pani?

— Nie wiem. Pani przecie usługuje Józef.

Andrzej przeszedł salony, zajrzał do jadalni, zauważył, że na stole były śliczne kwiaty, i udał się na górę. Przebrał się, chwilę pochodził po gabinecie, potem zapukał do buduaru żony.

— Proszę! — odpowiedziała.

Wszedł, dobrze nie wiedząc, co ma rzec.

Siedziała u okna nad stosem bielizny i szyła.

— Ojciec wyszedł z budowniczym na chwilkę — rzekła nie przerywając roboty — może pan głodny?

— Nie. Wróciłem wcześniej — upał nieznośny tam w biurze. Codzień mnie głowa boli.

— Niechże pan nie pali papierosów, przy bólu głowy. Możeby pan wody sodowej wypił? — rzekła życzliwie, usuwając koszyczek z nićmi z kanapki i podając mu flakon z wodą kolońską.

Usiadł, a gdy znowu zajęła się robotą, nieznacznie się jej przyglądał.

Miała na sobie kostyum z jasnego batystu, bardzo skromny i przyzwoity, złote włosy, oplecione bez pretensyi wokoło głowy, na ręce migającej igłą, ślubna obrączka. Pochylona, szczupła twarz, miała jeszcze złotawy odblask wiejskiego słońca, i wyraz poważnego spokoju. Nie mówiła nic, chcąc mu zapewne zrobić ulgę ciszą.

— Jakim sposobem poznał dziś panią Kołocki? — spytał.

Uśmiech przebiegł jej po twarzy.

— To musi być chyba ludożerca, bo już ojciec na mnie za to napadł. Stało się to jednak bardzo naturalnie. Czytałam w gabinecie — on wszedł — nie uciekłam, nie przeczuwając niebezpieczeństwa, no, i rozmawialiśmy. Uczynił na mnie zrazu wrażenie waryata, oglądałam się za dzwonkiem na służbę. Potem się uspokoiłam, że to tylko próżniak, chorujący na oryginała i koniec.

— Jest to specyalista od kompromitowania kobiet. Czyje imię przejdzie przez jego usta, ta już ma zachwianą opinię.

— O, biedna opinia w takim razie!

— Moim obowiązkiem jest panią ostrzedz.

— Dziękuję panu, ale wątpię, czy go zobaczę drugi raz w życiu! Dziś w wieczór wyjeżdża.

— Zostaje i będzie u nas częstym gościem.

— Jeżeli pan z tem się zgadza, ostrzeżenie jest zbyteczne.

— Jest to nasz dawny znajomy.

— Tak, mówił mi o tem.

— Jak mówił?

— Że pana wychował w pojęciu światowem. Nawet się pytał, czy mi się jego uczeń podoba?

— Mam nadzieję, że odpowiedzi nie otrzymał?

— Nie jest przecie moim przyjacielem, ani powiernikiem.

Andrzej głowę oparł na poręczy kanapki i oczy przymknął. Buduar był od dziedzińca więc względnie cichy.

— Czy to prawda, że pani Janową oddaliła?

— Jest zbyteczną. Jej zajęcie ja sama załatwię w godzinę, z wielką radością, że coś mogę robić. Może pan temu nie rad?

— Ach — ja! Byłbym najszczęśliwszy, żebym mógł wcale w domu nie być! Wszystko mi jedno kto tu rządzi. Tylko za Janową pójdzie Jan, a do niego przywykłem.

— W feralny dzień zajęto to mieszkanie, bo zdaje mi się, że niejeden radby tu nie być! — od-

parła składając robotę. — Może tu niegdyś było więzienie i bateryе buntu jeszcze się gnieżdżą.

Złożyła i sprzątnęła bieliznę, cichutko się ruszając i chodząc, potem przysłoniła firankę, i wysunęła się z pokoju.

Andrzej pożałował po niewczasie swych słów brutalnych, radby je cofnął, nawet chciał na razie przeprosić, ale nie wiedział jak. I rozchodzili się coraz dalej, coraz dalej.

Kazia zeszła do jadalni, obejrzała raz jeszcze stół i bufet, potem wsunęła się we framugę okna i wydobyła z kieszeni list ojca. Czytała go już raz dziesiąty:

„Na każdem miejscu i w każdej chwili stoisz mi na oczach, dziecko moje jedyne. Nie mogę się obyć z twą nieobecnością, szukam cię nawyknieniem. Ciężko żyć, ale to mię krzepi, że ci tam lepiej niż tutaj. Pisz, powtarzaj mi, że ci dobrze, że oni są dla ciebie serdeczni, żeś szczęśliwa. A jeżeli ci czego brak, coś ci nie dogadza, to nie taj; jam do złego przywykł, potrafię cię pocieszyć. Myślę, że nie wytrzymam, i chociaż czas teraz drogi, na rolniczą wystawę do Warszawy wpadnę".

Dzwonek się rozległ w przedpokoju i Andrzej wszedł do jadalni.

Widział jak Kazia ukryła list w kieszeni i rękę przesunęła szybko po oczach, ale jej o nic nie spytał.

Ona, jakby w liście tym nabrała mocy, pierwsza do niego przemówiła:

— To zapewne ojciec i pan Radlicz wnet się zjawi. Czego pan szuka?

— Cytryny. Głowa mi pęka z bólu!

— O biada! I jeszcze ten gość! — rzekła ze współczuciem.

— Niechże pani nie udaje żalu nademną. Do tego pani nie jest obowiązana.

— Miewam czasem migrenę, więc wiem, jakie to nieznośne. Zresztą chory przestaje mi być antypatyczny. Oto limonada, i doprawdy zabiorę papierosy. Przy pana rozdrażnieniu nerwowem, to trucizna. Przecie taki stan nietylko dla otaczających, ale i dla pana samego jest przykrym!

— Co mi tam! — mruknął.

Prezes ich tak zastał przy bufecie.

— Jużeś wrócił?! Wiesz, że tu był Kołocki? — rzekł, badając pilnie twarze obojga.

— Cóż ja na to poradzę!

— Wyobraź sobie, że się Orszańscy rozchodzą.

— Ano — to bardzo szczęśliwi.

— A zgadnij, jaki kosztorys urżnął mi budowniczy na oficynę — pięćdziesiąt tysięcy!

— To niech ojciec sprzeda kamienicę.

— Hm — z dwojga złego, wolę już mieć kogoś na hipotece, niż sam u kogoś siedzieć, i takie mieć chryje, jak z Szaberową. Pojutrze muszę składać vadium i stawać do licytacyi, i jeszcze mi druga rudera się dostanie!

— Bo to widzisz — zwrócił się do Kazi — miałem sumę u Szabera, kupca, jakieś tam siedmnaście tysięcy. Umarł kilka lat temu, została wdowa i pięć córek, i uparła się dać radę interesom.

— I ginie, biedna!

— Ano — pojutrze zostaną na bruku. Jam się do tego nie przyczynił, bom pięć lat nie widział procentu.

— Przecie ojciec ich nie wyrzuci z mieszkania — rzekł Andrzej — trzeba im będzie poszukać posady i trochę pomódz. Dwie starsze są zdolne kasyerki!

— Tak, ale jest troje drobiazgu, a matka skończy u Bonifratrów!

— Co za przeskok: z właścicielki kamienicy do nędzarki. Nieszczęśliwa kobieta! — westchnęła Kazia.

W tej chwili wszedł Radlicz i rzekł z uśmiechem.

— Mam dla pani ukłony od pani Dąbskiej, która państwa oczekuje w sobotę. Myślę, że znajdzie pani tam tłum ciekawych.

— Ogórkowe widocznie czasy — zauważył Andrzej.

— Jednakże kilka par się skojarzyło temi czasy, chociaż maj uchodzi za miesiąc nieszczęśliwy. Wolski się ożenił, i panna Malwina Zakrzewska wyszła za mąż Pani jednej świat oczekuje i wygląda. Nie byłem nigdy sławnym, ale musi być przyjemne!

— No nie! Ja mam to samo uczucie, jak, gdyby przybyłam do klasztoru i zewsząd słyszałam: nowa, nowa! Każde moje słowo, ruch, krok były oglądane i wyśmiewane. Tak samo teraz z mojem parafiańszczyzną będę zabawką dla Warszawy. Tu ludzie mają jeszcze więcej wolnego czasu i zamiłowania nowinek, niż pensyonarki! Ano, cóż robić. Przejść to muszę.

— O! mnie się widzi, że i pani umie wzroki zbierać. Jakieby to ciekawe było wiedzieć pani uwagi o mieszczuchach.

— Ona sobie nawet nie zadaje ceremonii. Powiedziała dziś Kołockiemu, że jest kaleka! — roześmiał się prezes.

Lokaj oznajmił obiad. Kazia zajęła miejsce gospodyni i rozlewając zupę, odpowiedziała na pytający wzrok Radlicza.

— Ano, jak ktoś zamiast prostych pleców ma garb, jest wbrew prawom przyrody i nazywa się kalectwem. Więc, jeżeli ktoś nienawidzi matki i za cel życia ma jej dokuczyć, to także jest wbrew prawom przyrody, więc kalectwo.

— No, ale się garbatemu nie wypomina garbów — zaśmiał się Andrzej.

— Bo się z tem tai, a ten pan szczycił się swą nienawiścią dla matki. Nazwałam tedy rzecz po imieniu!

— Czy pani zawsze tak czyni? — rzucił Radlicz.

— Zawsze, jeżeli mnie kto pyta.

— Z temi zasadami, w ładną można wejść kabałę — mruknął Andrzej.

— Ale to bardzo zdrowe i ciekawe. Ja panią pytaniami zawsze będę zarzucał.

— Jakże się pani podobała Warszawa?

— Nie pierwszy raz tu jestem.

— Ale wrażenia?

— Jakbym była we młynie. Hałas świdruje mi uszy, kurz oślepia, powietrze dusi. Wszystko pędzi, śpieszy, potrąca, jakby co krok był pożar. A przytem jeden drugiego ogląda, jakby coś osobliwego. A dla mnie wszyscy są tak do siebie podobni, że wolę już patrzeć na konie. Chociaż i te tutaj są szablonowe. Zdaje się, że tu wszystko ma na celu starcie oryginalności: drzewo, zwierzę, człowiek, budynek, wszystko starają się uczynić do drugiego podobne.

— Teraz rozumiem, dla czego mi pani głową nie kiwnęła, gdym się dzisiaj kłaniał na Królewskiej.

— Doprawdy! Może być. Ja nie umiem patrzeć w mieście, nie biorę ukłonu dla siebie, przytem wciąż boję się zabłądzić, wpaść pod tramwaj lub dostać się pod miotłę stróża! Myślę, że mnie kiedy posłaniec przyprowadzi, bo się zgubię.

Śmiała się sama z siebie.

— Okropnie szkalujesz mi Warszawę. Po obiedzie pojedziemy na spacer do Wilanowa. Zabierzesz się z nami do landa — panie Radlicz. Trzeba naszej wieśniaczce zaimponować! — rzekł prezes.

— Ach — dobrze, dziękuję ojcu. Zobaczę kawał pola! — zawołała radośnie.

Wtem spojrzała na Andrzeja i zasępiła się.

— Ale może nie dzisiaj? — zauważyła wahająco.

— Dlaczego? Pogoda śliczna.

— Głowa go boli, a musiałby jechać także! — rzekła, czerwieniąc się na to pierwsze poufałe nazwanie męża. Nie mogła przecie mówić mu: pan przy ludziach.

— Wygląda, jakby pani skłamała w tej chwili — szepnął Radlicz dyskretnie.

— Nigdym się nie uchylał od musu — ozwał się Andrzej.

Prezes spojrzał na niego ostro i zapanowało kłopotliwe milczenie.

Lica Kazi pobladły, i jakby rozpacz mignęła w oczach.

— Mój Boże — pomyślała — jak on tak odpowie przy mym ojcu!

Schyliła głowę zmęczona, zniechęcona do dalszej walki.

— Nie zna pani Wilanowa? — przerwał milczenie Radlicz.

— Nie! Wybierałyśmy się z Tunią, ale ona nigdy niema czasu.

— Nie mając żadnej roboty, jest zapracowana.

— Bo ja znowu jestem w rozpaczy, że nie mam co robić i myślę ogłosić się w Kuryerze.

— Na jaką posadę? — śmiał się Radlicz.

— Ależ, Kaziu, przecie nie mówisz tego na seryo? — przeraził się prezes.

A Andrzej dodał:

— Jeśli o to chodzi, to bez ogłoszenia się znajdzie. U Dąbskich spotkamy Ramszycową.

— Ach prawda! Ta panią porwie, jak łup upragniony, i wyzyska, jak żyd szlachcica.

— Kto to taki?

— To jest milionerka, angielka, żona Ramszyca, tego od cukru, bo jest drugi od węgli. Biały Ramszyc i czarny Ramszyc, jak ich nazywają.

Kobieta, na której określenie trzeba samych superlatywów, jest najbrzydszą i najelegantszą, jest najśmielszą i najswobodniejszą i najnieskalańszej opinii i życia, jest złośliwą, jak chochlik, a nie obmówi nikogo, jest najskąpszą w domu, a najwspanialszą w potrzebach ludzkości.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

TUŁACZE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

(Ciąg dalszy.)

— A! panie generale! — przerwał żywo Kościuszko... jam ci też kawał szlachcica... ale czuję, że nam już dosyć tego szlachectwa i przywilejów i wyłączności... równości potrzeba... podnieść lud...

— Równości! — zawołał Pułaski. — Zapewne, ale gdzież ona jest, mospanie? i w niebie między aniołami są przecie archanioły i cherubiny szlachcice...

— Trzeba wieków, aby naród zlał się w taką masę; stworzeniśmy nierówno... Szlachta winna, ale ona być musi i spełniać, co na nią włożono...

— Tak było niegdyś — odparł Kościuszko — dziś już tak nie jest i jutro nie będzie. W Polsce też potrzeba społeczność całą zlać i połączyć, obaliwszy zapory, co ją dzielą — połączyć się obyczajami, życiem, bodaj największą ofiarą. Bo gdy wybije godzina wielka, obrony ojczyzny... ci, co jej nie mieli, co w niej byli niewolnikami — bronić jej nie będą. Obywatelstwo dać wszystkim, aby z nich zastęp utworzyć jeden. — Cóż dziś Polska? to garść wybranych, a nam trzeba mas, tysiąców, milionów, nam ludu potrzeba... Lud jeszcze się u nas nawet nie narodził, jest czerń tylko. Gdy z ludu u nas wyjdą Frankliny i Washingtony, naówczas...

— He! he! — zawołał Pułaski — to są te wasze nowe idee. Masy po staroświecku, gdy ich zapotrzebujemy, powinny pójść na zawołanie, ale potrzeba je cnotą, miłością, zaufaniem sobie zjednać, obudzić w nich wiarę i umieć prowadzić. A któż poprowadzi, jeśli nie szlachcic?

— Kochany generale — rzekł — ściskając go Kościuszko — powtarzam wam, ani Franklin, ani Washington, ani Jefferson nie poszczycą się podobno szlacheckiemi... a oni...

Pułaski zamilkł.

— Inny kraj, inny obyczaj! — dorzucił po chwili.

— Krajowi naszemu też obyczaj zmienić potrzeba — dodał Kościuszko. — Jeśli Bóg da mi kiedy iść na nieprzyjaciela, włożę chłopską sukmanę.

Ta myśl, rozgrzewająca serca, pojednała ich, Pułaski go uścisnął.

— Byle na nieprzyjaciela, idź, czy w sukmanie; czy w habicie, czy w koszuli...

Tak uczeń Russa i wielbiciel Franklina, przyjaciel Jeffersona, rozprawiał z konfederatem Barskim, w którym tlał duch św. Marka i żyły tradycye.

Niestety! one tradycye były to szaty nad dziadów za przestronne, na skarlałe wnuki; do instytucyi patryarchalnych, trzeba było i ludzi patryarchalnych, a w ich miejsce stanęły zgniłe niedobitki i plewa...

Gdzieniegdzie po nad te znikczemniałe tłumy podnosiły się głowy, charaktery, geniusze nawet, ale nie miały dosyć woli i siły, aby owładnąć narodem i prowadzić go.

Ten rozstęp między instytucyami dawnej Polski, a ludźmi, co w nich chodzili, od początku XVII wieku coraz widoczniejszym się stawał; nikt nie dorósł do ideału praw dawnej rzeczypospolitej, a w ręku zepsutych ludzi ten gmach, co poprzedził tyle budowli, później kleconych, wielkością i pięknością swą — runąć musiał...

Klonowicza i Wacława Potockiego czytać potrzeba, aby wiedzieć, co prawy Polak rozumiał jako szlachectwo... — obowiązek ofiary, kapłaństwo.

Ciąg dalszy nastąpi).

ALEKSANDER DUMAS.

WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

KAWALER DE MAISON-ROUGE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Maurycy wzruszył ramionami.

— Spisek! na wspomnienie którego włosy wstają na głowie — mówił dalej Agezilaus.

— Doprawdy! — odpowiedział Maurycy jako człowiek nawykły do słyszenia o trzydziestu spiskach jednego dnia w owej epoce.

— Tak jest obywatelu — rzekł Agezilaus — to aż człowiek truchleje! Samo wspomnienie o nim dreszczem przejmuje prawdziwego patryotę.

— Cóż to za spisek przecie — powiedział Maurycy.

— Austryaczka tylko co nie uciekła.

— Bah! — rzekł Maurycy, zaczynając pilniej uważać.

— Zdaje się — mówił Agezilaus — że wdowa Kapet miała stosunki z Heloizą Tison, która dziś ma być gilotynowaną. Ale nie wykradła jej ta nieszczęśliwa.

— I jakież to stosunki miała królowa z tą dziewczyną? — spytał Maurycy, czując, że mu pot występuje na czoło.

— Za pomocą goździka. Wystaw sobie obywatelu, że jej w tym goździku przesłano cały plan wykradzenia.

— W goździku!... i któż to taki?

— Pan kawaler de... Czekajno obywatelu... Ale to dobrze znane nazwisko... ale, ja zawsze zapominam to nazwisko. Kawaler z jakiegoś zamku... O! jakiż ja głupi! już teraz przecie niema zamków... Kawaler...

— De Maison-Rouge.

— Tak! tak!

— To niepodobna!

— Jakto niepodobna! kiedy powiadam ci, że znaleziono klapę podziemną, karetę...

— Ale nic, jeszcześ mi nic o tem nie mówił.

— No, to powiem.

— Mów. Jeśli to bajka, przyznać należy, że ładna.

— Nie, obywatelu; to nie bajka, to prawda jak należy, bo mi ją opowiadał obywatel odźwierny. Arystokraci wykopali minę i mina ta szła z ulicy Corderie i ciągnęła się aż do piwnicy pod chatką obywatelki Plumeau, którą tylko co nie posądzono o wspólnictwo. — Wszak znasz obywatelkę Plumeau?

— Znam — rzekł Maurycy — ale cóż dalej?

— Wdowa Kapet miała uciec przez to podziemie. Już nawet stanęła na pierwszym schodzie. Ale obywatel Simon uchwycił ją za suknię. Słuchaj, biją alarm w mieście, i przywołują do sekcyi. Czy słyszysz bęben obywatelu? Mówią, że Prusacy są w Dammartin i że rekonesanse posunęli aż pod rogatki.

W pośród tego napływu słów prawdziwych i fałszywych, podobnych do prawdy i niedorzecznych, Maurycy doszedł prawie po nici do kłębka. Wszystkiego przyczyną był ów goździk podany królowej w jego oczach, a który on kupił u nieszczęśliwej kwiaciarki. Goździk ten zawierał w sobie cały plan spisku, który wybuchł z mniej lub więcej prawdziwemi szczegółami, jakie opowiedział Agezilaus.

W tej chwili zbliżył się odgłos bębna i Maurycy usłyszał jak wołano na ulicy:

— Wielki spisek odkryty w Temple przez obywatela Simon! Wielki spisek na korzyść wdowy Kapet odkryto w Temple!

— Tak jest, tak — mówił Maurycy — wszystko widzę prawda. A Lorin, który w pośród takiego uniesienia ludu, poda może rękę tej dziewczynie, o! nieszczęśliwy rozsiekają go w kawałki.

Maurycy porwał kapelusz, zapiął pędent od pałasza i w kilku poskokach już był na ulicy.

— Gdzież on — zapytał sam siebie — zapewne poszedł do Conciergerie.

I pobiegł wybrzeżem.

Na końcu wybrzeża de la Mégisserie, uderzyły go w oczy bagnety i dzidy wystające z pośrodka licznego zgromadzenia; zdało mu się, że wśród niego poznaje mundur gwardzisty, a w grupie nieprzejrzane poruszenie.

Pobiegł z ściśnionem sercem ku zgromadzeniu zalegającemu brzeg rzeki.

Tym gwardzistą ściskanym przez tłumy marsylczyków był Lorin, blady, z zaciśniętemi zębami, groźnym spojrzeniem, z ręką wspartą na rękojeści pałasza, mierzący miejsce na ciosy, które miał zadawać.

O parę kroków od niego stał Simon, który dziko śmiejąc się wskazywał Lorina marsylczykom i gminowi mówiąc:

— Patrzcie! patrzcie! czy widzicie tego tam; jest to jeden z arystokratów, których wczoraj kazałem wypędzić z Temple; jest to jeden z tych, którzy pozwalają na listy w kwiatkach. Jest to wspólnik młodej Tison, którą zaraz będą prowadzić. I cóż! czy widzicie go, spokojnie przechadza się po wybrzeżu, kiedy tymczasem jego wspólniczka pójdzie pod gilotynę, a może nawet była więcej niż jego wspólniczką, może to była jego kochanka, przychodzi więc pożegnać ją albo może chce ją ocalić.

Lorin nie mógł dłużej słuchać spokojnie. Wydobył więc pałasz z pochwy.

W tej chwili rozstąpiły się tłumy, dając przejście człowiekowi, który się gwałtem przedzierał i szerokiemi barki przewrócił już kilku widzów, zamierzających zostać aktorami tej sceny.

Człowiekiem tym był Maurycy.

Przybywszy do Lorina, zarzucił on mu lewą rękę na szyję.

— Niech ci szczęście sprzyja Simonie — rzekł Maurycy. — Ubolewasz zapewne, że mnie tu niema obok mego przyjaciela, abyś mógł dokonać twego rzemiosła denuncyanta na wielką skalę. Denuncyuj, Simonie, denuncyuj, oto jestem!

— Na honor, tak jest — rzekł Simon, obmierzle szydząc — w czas przychodzisz. Ten — mówił dalej Simon — jest to piękny Maurycy Lindey, którego oskarżono wraz z młodą Tison, i który się z tego wywinął, bo jest bogaty.

— Na latarnię! na latarnię! — krzyknęli marsylczycy.

— No, no, tylko spróbujcie — rzekł Maurycy.

I postąpiwszy naprzód jakby dla próby, ukłół w czoło jednego z najzagorzalszych, tak, że krew natychmiast go oślepiła.

— To zabójca! — wrzasnął tenże.

Marsylczycy opuścili dzidy, podnieśli topory, nabili karabiny; przerażone tłumy usunęły się, a dwaj przyjaciele zostali odosobnieni, wystawieni na krzyżowy ogień i na wszystkie ciosy.

Rzucili na się ostatnie niebiańskie spojrzenie, bo sądzili, że pochłonie ich ten wir żelaza i ognia, w tem nagle otworzyły się drzwi domu, o który byli oparci i gromada młodzieży, zwanej elegantami, uzbrojonej każdy w pałasz i parę pistoletów wpadła na marsylczyków i rozpoczęła straszliwą utarczkę.

— Hurra! — krzyknęli razem Lorin i Maurycy ożywieni tak nagłą pomocą, niepomni, że walcząc w nowo przybyłych szeregach, usprawiedliwiają oskarżenia Simona. Hurra!

Atoli jeżeli nie myśleli o swem ocaleniu kto inny pamiętał o tem; mały dwudziestopięcio- lub sześcioletni młodzieniec, z niebieskiem okiem, bez ustanku, z ciągłą zręcznością i zapałem uderzający ciężką saperską szablą, której zdawało się, że kobieca jego ręka unieść nie zdoła, widząc, że Maurycy i Lorin zamiast umykać przez drzwi, które jakby naumyślnie otworem pozostawił, walczą raczej przy jego boku, obrócił się ku nim, mówiąc po cichu:

— Uciekajcie temi drzwiami, to co tu robimy, nie należy do was, a skompromitujecie się niepotrzebnie.

I potem widząc, że obaj przyjaciele wahają się:

— W tył! — krzyknął do Maurycego — patryoci obok nas nie mają miejsca — obywatelu Lindey, my jesteśmy arystokraci.

Posłyszawszy to nazwisko, widząc człowieka, który śmiał nadawać sobie przymiot w owej epoce, wyrównający skazaniu na śmierć, tłumy przeraźliwy krzyk wydały.

Ale jasnowłosy młodzieniec i kilku innych przyjaciół jego, nie przerażeni bynajmniej tym krzykiem, wepchnęli Maurycego i Lorina w przejście od którego drzwi natychmiast za nimi zaparli, a potem znowu wpadli pomiędzy tłumy powiększone nadciągnięciem wozu.

Maurycy i Lorin tak cudownie ocaleni, spojrzeli po sobie zdziwieni i oczarowani.

Wnet jednak zrozumieli, że nie mają czasu do stracenia i szukali wyjścia.

Wyjście to zdawało się, jakby naumyślnie dla nich przygotowane, weszli na jakiś dziedziniec, w końcu którego znaleźli małe drzwi, prowadzące na ulicę Saint-Germain-l'Auxerois.

W tej chwili z Pont au Change wyruszył oddział żandarmeryi, który wkrótce oczyścił wybrzeże, chociaż na przechodniej ulicy, na której

znajdowali się dwaj nasi przyjaciele, przez chwilę jeszcze słychać było odgłos zajadłej walki.

Żandarmi ci poprzedzali wóz, na którym wieziono biedną Heloizę pod gilotynę.

— Galopem! — krzyknął jakiś głos — galopem.

Wóz ruszył galopem.

Lorin spostrzegł, że nieszczęśliwa dziewica stała z uśmiechem na ustach, z dumnem spojrzeniem, ale nawet skinienia nie mógł z nią zamienić. Przejechała, nie widząc go wpośród tłumów wrzeszczącego narodu.

— Śmierć arystokratom! śmierć!

I wrzask ten ustawał w dali a zbliżał się ku Tuilleries.

Jednocześnie otworzyły się małe drzwi przez które wyszli Maurycy i Lorin, i wybiegło z nich kilku elegantów w podartych i poszarpanych sukniach.

Tylu tylko zapewne pozostało z małego ich grona.

Jasnowłosy młodzieniec szedł ostatni.

— Niestety! — rzekł — czyliż ta sprawa jest przeklęta.

I cisnąwszy wyszczerbiony pałasz, pobiegł ku ulicy Levandières.

XIV.

Kawaler de Maison-Rouge.

Maurycy spiesznie wrócił do sekcyi dla zaniesienia skargi przeciw Simonowi.

Prawda, że Lorin nim się rozłączył z Maurycym, znalazł dogodniejszy środek ku wyrządzeniu sobie zadosyćuczynienia, bo radził mu, aby zebrać kilku Termopilistów i czatować na Simona, gdy wyjdzie z Temple i zabić go w najzaciętszej walce.

Ale Maurycy zupełnie plan ten odrzucił.

— Zgubisz się — rzekł mu — jeżeli pójdziesz drogą czynu. Zgniećmy go, ale drogą prawa. Będzie to dla nas rzecz łatwa.

W skutku tego, Maurycy udał się nazajutrz rano do sekcyi i napisał skargę.

Zdziwił się jednak mocno, gdy prezes głuchym był na nią, wymawiając się, że nie może przyjmować pośrednictwa między dwoma obywatelami zarówno miłością kraju ożywionymi.

— Dobrze! — powiedział Maurycy — wiem teraz, co czynić wypada, aby zasłużyć na tytuł dobrego obywatela. Zgromadzić lud i zabijać każdego, kto się nam nie podoba, i nazywasz to, obywatelu, prawdziwą miłością ojczyzny! Kiedy tak, podzielam teraz zdanie Lorina, które niesłusznie zbijałem. Od dnia dzisiejszego, dowodzić będę mego patryotyzmu, tak jak go pojmujesz obywatelu, a pierwszą próbę wykonam na Simonie.

— Obywatelu Maurycy — odpowiedział prezes — w sprawie tej Simon nie tyle może pobłądził co ty, wykrył on spisek, chociaż nie nakazywało mu do tego jego powołanie, kiedy tymczasem ty nie widziałeś nic, tam gdzieś widzieć był powinien, i chociaż nakazywały ci to obowiązki twego urzędu; co większa, masz przypadkowe lub rozmyślne może stosunki z nieprzyjaciółmi narodu, jakkolwiek nie wiemy o tem z pewnością.

— Ja! — rzekł Maurycy — ah! otóż znowu coś nowego, i z kimże to mianowicie, obywatelu prezesie.

— Z obywatelem Maison-Rouge.

— Ja! — zawołał zdumiały Maurycy — ja, mam stosunki z kawalerem de Maison-Rouge? ja go nie znam, ja z nim nigdy nie...

— Widziano, żeś z nim mówił.

— Ja?

— Żeś mu ściskał rękę.

— Ja?

— Tak jest.

— Kiedyż to? i gdzie. Skłamałeś obywatelu prezesie — dodał Maurycy uniesiony pewnością przekonania o swej niewinności.

— Gorliwość twoja dla kraju — rzekł prezes — za daleko cię unosi obywatelu Maurycy, i pożałujesz natychmiast tego, co powiedziałeś, skoro ci dowiodę, żem mówił czystą prawdę. Oto trzy rozmaite oskarżające cię raporta.

— Ależ! — przerwał Maurycy — czy sądzisz obywatelu, żem tyle głupi, iż wierzę w twego kawalera de Maison-Rouge?

— I dlaczegóżbyś nie miał uwierzyć?

— Ponieważ zawsze macie na pogotowiu to widmo wichrzyciela, abyście z nim mogli jednoczyć waszych nieprzyjaciół.

— Czytaj zaskarżenia.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DZIAŁ KOBIECY.

Kooperacya a kobiety.

We lwowskim „Odrodzeniu“ znajdujemy następujący ciekawy artykuł:

„Kooperacya spożywcza jest tak wybitnie dziedziną kobiety, że dziwić się niemal należy, że nie przez nią została wynalezioną“ — mówiła p. Treub-Cornaz na kongresie w Cremonie. „Dobra gospodyni, troskliwa o swoją rodzinę matka stanowią dla kooperatywy opokę, na której z ufnością oprzeć się może jej budowla współdzielcza. Gdzie tego oparcia brak, gdzie kobieta okazuje mało dla kooperacyi zainterosowania, tam najlepiej nawet zorganizowane stowarzyszenia posuwa się ku upadkowi“.

Dotąd udział kobiet w życiu stowarzyszeń spożywczych był nieznaczny. Ich rola ograniczała się niemal wyłącznie do nabywania towarów. W rzadkich tylko wypadkach powoływano kobiety do zarządów i rad nadzorczych stowarzyszeń. A przecież właśnie dobrze pojęta zasada demokratyczności ustroju kooperatyw spożywczych wymaga, aby kobieta na równi z mężczyzną brała czynny udział w kierownictwie i zarządzie. Stowarzyszenie spożywcze łączy wszystkich we wspólnej pracy na rzecz pożytku ogólnego. Słuszne jest przeto, aby wszyscy tak mężczyźni jak i kobiety brali czynny udział w jego życiu, korzystając z jednakich praw i obowiązków.

W Anglii i Szkocyi ideę tę propagują specyalne ligi kobiet-kooperatystek (Women's Guild). Cel tych organizacyi przeważnie oświatowo-wychowawczy: przygotowanie kobiet do tej roli, jaką wykonywać mają w zarządach i radach stowarzyszeń, oraz uświadamianie ich co do praw i obowiązków kobiety we współczesnem życiu społeczno-politycznem wogóle. Prócz powyższych spełniają ligi kobiet szereg innych zadań. Z raportu, przedstawionego imieniem angielskiej ligi kobiet na kongresie w Newport w r. 1908, czerpię dane następujące:

Rok 1907—8 był dla ligii kobiet rokiem 25-letniego jubileuszu, a zarazsm okresem bardzo ożywionej działalności. W roku tym powstało 55 nowych oddziałów ligi, a liczba wszystkich oddziałów dosięgała 500 z liczbą około 25.000 członków. Przedmiotem propagandy ligi były: kupowanie za gotówkę, tworzenie „oddziałów zdrowia“, prawa członkostwa dla młodzieży, ustalenie wyższych norm płacy dla kobiet, zatrudnionych w zakładach kooperatystycznych, ogarnięcia kooperacyą najbiedniejszych warstw ludności. Celem propagowania odnośnych reform odbył się w lidze podział pracy i nastąpiło odpowiednie wyspecyalizowanie kobiecych sił agitatorskich. Wydano szereg odezw i broszur, urządzano po stowarzyszeniach konferencye, zebrania agitacyjne oraz wspólne posiedzenia zarządów, komitetów wychowawczych i komitetów ligi. Nowa organizatorka ligi p. Provost wygłosiła w ciągu 1907—8 roku 91 przemów na „meetingach“ o potrzebie reform.

Każdy oddział ligi stawia sobie za zadanie współdziałać z zarządami poszczególnych stowarzyszeń w celu rozszerzenia i pogłębienia ruchu kooperatystycznego. Liga kobiet - kooperatystek urządza specyalne kursy buchalteryjne (Balance Sheet Classes), kursy przemawiania publicznego (Speaker's Classes); zajmuje się przygotowywaniem dla kooperatyw sił fachowych (training of officials and indyvidual members), organizuje kluby dziecięce (Junior Co-operative Clubs), urządza wspólne podróże za granicę (Foreign Tours), a następnie po powrocie uczestników podróży do kraju organizuje odczyty o kooperacyi za granicą. Tak np. w r. 1908 „Women's Guild“ urządziła wspólną wycieczkę kobiet-kooperatystek do Paryża, do Szwajcaryi i do Belgii.

W Gandawie i Brukselli kooperatystki angielskie pilnie studyowały urządzenia współdzielcze, a po powrocie do Anglii urządziły odczyty o kooperacyi Belgii.

Do zadań ligi kobiecej należy oprócz powyższego czuwanie nad tem, aby towary, sprzedawane w kooperatywach, nie pochodziły z fabryk, gdzie panuje system wyzysku robotnika.

Na wzór ligi angielskiej istnieją obecnie ligi kobiet w Szkocyi i Irlandyi, a nadto Szwecyi i w Holandyi. W innych krajach kobiety-kooperatystki nie posiadają swych odrębnych organizacyi.

W Belgii należą one w kilku stowarzyszeniach do zarządów.

W Niemczech istnieje obecnie 6 stowarzyszeń spożywczych, w których kobiety należą do rad nadzorczych. Przed kilkoma laty wydawano tam pismo „Das Frauengenossenschaftsblatt“, które się rozchodziło w 167.000 egzemplarzy. Obecnie pismo

to przeistoczone zostało w popularne pismo kooperatystyczne dla wszystkich.

W Rosyi podług świadectwa Borodajewskiego, delegata na kongres w Cremonie, kobiety już oddawna pracują na polu kooperacyi na równych prawach z mężczyznami.

To samo oświadczyła odnośnie do Finlandyi pani Hedwig Gebhart, poseł do sejmu finlandzkiego. Liga kobiet wystosowała do niej pismo z propozycyą założenia organizacyi kobiet-kooperatystek w Finlandyi. Odpowiedź jej brzmiała jak następuje: Kobiety finlandzkie, posiadające obecnie w kooperacyi i polityce zupełne uprawnienie z mężczyznami, nie odczuwają potrzeby zakładania ligi odrębnej.

Kobieta polska oddawna już na wszystkich polach pracy społecznej występuje, jako równoprawny towarzysz mężczyzny. W dziedzinie kooperacyi niejednokrotnie zajmowały u nas kobiety stanowiska na równi z mężczyznami.

Jeszcze w r. 1893 powołaną została do dyrekcyi Towarzystwa Kasy zaliczkowej w Szczercu p. Leontyna Malicka. Do dyrekcyi Towarzystwa zaliczkowego w Grybnie należy p. Zuzanna Jakubowska; w Limanowej — p. Marya Russocka, w Chodorowie — p. Jadwiga Bunikiewiczowa; p. Jadwiga Röhring występowała z ramienia Związku stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych, jako delegat-lustrator. Pod tym wogóle względem wyprzedziliśmy Europę. Jeszcze bowiem niedawno (w maju 1910 r.) głośny auter belgijski Bertrand w piśmie swojem „Les Coopérateurs Belges“ podawał, jako rzecz nową, że jedno ze stowarzyszeń kredytowych powołało na dyrektora kobietę. Bertrand mniema, że jest to w stowarzyszeniach tego rodzaju pierwszy wypadek powierzenia dyrekcyi kobiecie.

Zasadniczo sprawa udziału kobiety w działalności współdzielczej jest u nas już dawno rozstrzygnięta, ale *faktycznie* stwierdzić należy, że kobiety okazują u nas dotąd mało zainteresowania dla współdzielczości i biorą mały udział w życiu stowarzyszeń.

Jeżeli gdzie, to na polu kooperacyi spożywczej przedewszystkiem, praca kobiet mogłaby oddać społeczeństwu usługi nieocenione.

Pozyskanie kobiety dla współdzielczej pracy na polu spożywczem stać się powinno pierwszorzędnem zadaniem naszej propagandy kooperatystycznej.

Dom i kuchnia.

Mostek gotowany faszerowany.

Przygotować następujący farsz: Usiekać na maść pół funta cielęciny, dodać kawałek masła, jedną bułkę namoczoną w mleku, 4 cale surowe jaja, trochę siekanej zielonej pietruszki, soli, pieprzu, gałki muszkatołowej, a jeżeli farsz nie dosyć ścisły, wsypać trochę bułki tartej — wszystko dobrze wymieszać, z mostku oczyszczonego wyjąć kości, przeciąć go wzdłuż pod błoną i nadziać przygotowanym farszem, potem nacięcie zaszyć i gotować mostek z włoszczyzną, podlawszy go wodą.

Wino z czarnych jagód.

Dla osób cierpiących na różne chroniczne niedyspozycye żołądka, wybornym środkiem leczniczym jest wino z czarnych jagód w ten sposób urządzone:

Garniec czarnych jagód przesypać w gąsiorku 2 i pół f. cukru, dodawszy z 10 sztuk suchych pomarańczek (kupić w drogeryi). Gąsior niezupełnie napełniony owiązać w górze gałgankiem i postawić w oknie na słońcu. Gdy po kilkunastu dniach cukier się rozpuści i jagody wyfermentują, gąsior z winem usunąć z operacyi słonecznej i tak przez 6 tygodni pozostawić, nie szkodzi jednak, gdy wino to postoi jeszcze parę miesięcy na jagodach, bo lepiej wyfermentuje. Ku jesieni płyn przez płótno zcedzić, zlać w próżne butelki, zakorkować i wynieść do piwnicy. Gdy potrzeba, można je zaraz używać, ale im dłużej stoi w piwnicy tem większej nabiera mocy i dobrego smaku. Wino to trzymane w piwnicy, po kilku latach smakuje jak najlepsza malaga.

Powidła z pomidorów.

Opłukane w zimnej wodzie pomidory rozrywać na części, lekko wyciskać z pestek i dusić w rondlu pobielanym tak długo, aż się rozgotują; wtedy rondel odstawić, aż masa ostygnie i ustoi się. Natenczas wyjmować łyżką durszlakową sam gąszcz na sito, przetrzeć i, jeżeli chcemy mieć bardzo gęste powidła, to jeszcze raz należy masę przetartą złożyć do rondla i gotować do odpowiedniej gęstości, albo gąszcz przetarty składać zaraz w słoje lub w mocne butelki, które szczelnie zakorkować i obwiązać szpagatem. Wstawiwszy w drugi rondel z wodą, słoje lub butelki poprzekładać słomą lub sianem; od zagotowania wody licząc gotować 30 minut. Pozostałą wodę od popomidorów wlać w butelki i oddzielnie sterylizować, gdyż stanowi ona wyborny kwas do barszczu lub do kapuśniaku. Kto ma aparat Weck'a do sterylizowania, może gotować pomidory 20 minut przy 100° C.

:: HUMORYSTYKA ::

Komplemencista.

Ona. Ach! Jak jabym chciała pojechać do Papuasów!

On. Ależ pani naraziłaby się tam na niebezpieczeństwo... to są ludożercy.

Ona. A podróżnicy powracają żywi?

On. Bo nie są tak jak pani apetyczni!

— Co jest, mój koliberku? co sze tobie stajało? Nie dałasz my jeszcze dżyszoj calusa na dżyn dobre, any nyc; co to ma za znaczenje?

— Daj mi pokój, Adolfie. Ja jestem rozstrojona.

— Wi hajst rozstrojona? dloczego rozstrojona? na co rozstrojona? czy ja szy z fortepianym ożeniałym?...

Źle patrzył.

— To dziwne! Ty, taki ładny mężczyzna, ożeniłeś się z taką chudą panną. Jak mogłeś zrobić taki wybór?

— Bo, widzisz, jakem się jej oświadczał, to wówczas mi się w oczach dwoiło...

Boruch Symche bawił dłuższy czas na kuracyi w Karlsbadzie, a odjeżdżając ztamtąd, nie dał przez skąpstwo żadnego „napiwka" kąpielowemu.

— No! — powiada tenże — panu chyba niewiele tutejsze kąpiele pomogły, gdyż przez sześć tygodni codziennie kąpał się pan, a pomimo to wyjeżdża brudny.

Zręczne upomnienie.

— Będąc na jarmarku, widziałem jegomościa, który mi całkiem pana przypominał.

— Tak? — był do mnie podobny?

— To nie, ale mi także długu nie oddaje...

Najwyższy szczyt roztargnienia.

Przyjść do księgarni i zażądać 365 obiadów pani Lucyny Szumlańskiej.

— Boska Malwino! kocham cię do szaleństwa!

— Idź pan sobie! wczoraj widziałam, jakeś całował moją garderobianę.

— No, widzi pani? ja już z tej miłości sam nie wiem, co czasem robię..

W wiejskiej szkółce.

Chłopak (pokazując drugiemu obrazek z biblii, przedstawiający sen Jakóba): Pomiedz mi, Jendrek, bez co te janiołki idom do nieba po drabinie, skoro majom skrzydła i mogłyby furgać?

Zapytany: Bo sie bezkurcyje pewnikiem dopierutko pierzą...

Modna służąca.

— Gdzieś panna już służyła?

— Proszę mi podać „Przewodnik adresowy", to wykreślę w nim te parę miejsc, w których jeszcze nie byłam w obowiązku...

Gość (w restauracyi): Proszę mi kazać sporządzić jajecznicę, tylko aby jajka były świeże.

Usłużny garson: Dobrze, proszę pana. Kucharz rozpuści masło i zawoła kury, żeby zniosły jaja wprost do rondla...

— Jeżeli pani nie chce ażebym nie pomyślał, że pani jest niemowa, niechże pani powie choć jedno słówko.

— Idyota...

Zajęcie.

— Przyjdź dziś do nas na winta!

— Ba, kiedy mam zajęcie.

— To się zwolnij.

— Nie mam pieniędzy.

— A to na co?

— Bo uważasz, mam zajęcie gratów przez komornika.

Od Administracyi.

Wszelkie reklamacye są wolne od opłaty pocztowej.

Zwracamy jednakowoż Szan. Czytelnikom uwagę na to, iż reklamacye koniecznie muszą być nadesłane w **otwartej** kopercie. Reklamacyi w zamkniętych kopertach niefrankowanych nie przyjmujemy, ponieważ poczta liczy nam za nie podwójne porto.

Redaktor odpowiedzialny Józef Zieliński w Poznaniu.
Czcionkami „Dziennika Poznańskiego".

6

Redaktor odpowiedzialny Marjan Hupczyc w Krakowie.